

Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — MONTHLY REVIEW

Nr 134 (Rok IX, Nr 5)

Maj, 1949

Cena (Price) 2/-

ZAMIĄST JEDNOŚCI — GROTESKA

PRAWDZIWEJ polityki narodowej nie można prowadzić bez ustalenia hierarchii celów, do których się dąży; dla celu głównego poświęcić wypadła niekiedy dążenia mniejsze, albo przynajmniej odłożyć ich wykonanie na czas bardziej sposobny. W polityce obowiązują jednak nie tylko hierarchia celów, ale także hierarchia środków; wybierać trzeba drogi, najskuteczniej do celu wiodące, choćby wybór ten wywoływał, z innych, mniej doniosłych punktów widzenia, takie lub inne obawy czy wątpliwości. Nie może się to oczywiście odbywać z poświęceniem podstawowych wartości narodowych i moralnych — w tym wypadku bowiem podważalibyśmy sam cel, do którego zmierzamy.

Naczelnym zadaniem polityki polskiej jest odbudowa niepodległego Państwa Polskiego, z obszarem nieuszczerplonym ani na wschodzie ani na zachodzie. Byłoby błędem niewybaczalnym i groźnym w skutkach zakładać, że zadanie to urzeczywistni się niejako automatycznie — w wyniku zbrojnego zwycięstwa Zachodu nad imperium sowieckim, czy też bezkrwawego zepchnięcia Rosji na jej dawne granice. Nie przeceniając wcale naszych możliwości, stwierdzić trzeba, że od polskiego wysiłku politycznego zależy w dużej mierze będzie, w jakim stanie — ludnościowo i materialnie — Polska wyłoni się ze zbliżającej się nowej zawieruchy, oraz jakie sobie zapewni granice i stanowisko w przyszłym porządku światowym. Pamiętajmy, że gdyby nie akcja paryskiego Komitetu Narodowego u końca Pierwszej Wojny Światowej, akcja kierowana przez geniusz polityczny Dmowskiego, odradzające się wówczas państwo polskie mimo całego poparcia Francji nie dostałoby prawdopodobnie ani Pomorza, ani też bogactw Górnego Śląska — byłoby więc tworem ubogim i kalekim. Niebezpieczeństwa, jakie grożą nam w przyszłości, są jeszcze dużo

groźniejsze i godzić mogą w samą substancję narodu.

W obecnym położeniu międzynarodowym, które tak szybko dojrzewa do zasadniczych rozstrzygnięć, nie może być mowy o prowadzeniu skutecznej polityki polskiej bez istnienia jednego, centralnie kierowanego ośrodka tej polityki. Obecne rozbitcie sił polskich prowadzić musi z konieczności do powstania paru takich ośrodków, nawzajem działających swe osłabiających, lub nawet paraliżujących. W warunkach takiej politycy polscy nie zdobędą sobie ani niezbędnego autorytetu ani siły przekonywania; przeciwnie, w świecie zachodnim utrwali się opinia Churchilla o tragicznej niezdolności Polaków do rządzenia się. Będzie to stan rzeczy szczególnie dogodny dla czynników obcych, mogących w miarę swych potrzeb stawiać na ten lub inny ośrodek polski, zależnie od jego przydatności i podatności; aż za dużo mówi nam o tym doświadczenie ostatnich lat pięciu.

Te właśnie względy najwyższej wagi skłoniły Stronnictwo Narodowe do podjęcia akcji, zmierzającej do skupienia sił politycznych Polski, tak złowieszczą dziś na emigracji rozbitych. Zjednoczenie to odbyć się może oczywiście tylko w ramach ciągłości prawnej państwa i na niewzruszonej podstawie jego terytorialnej integralności. W tym właśnie kierunku poszły zabiegi i starania przywódców obozu narodowego — ostatnio zwłaszcza dr Tadeusza Bieleckiego z okazji jego pobytu w Stanach Zjednoczonych, poświęconego zresztą głównie rozmowom z politykami amerykańskimi i pozyskiwaniu ich dla sprawy polskiej.

Przeciw staraniom tym podniesione zostały z pewnych stron zastrzeżenia — niekiedy szczerze, niekiedy dużo mniej szczerze i podyktowane głównie interesami grupowymi. Wśród zastrzeżeń tych

kulminuje obawa, że wejście z powrotem do legalnego porządku państwowego czynników, które poprzednio znalazły się poza jego obrębem i prowadziły znaną dobrze politykę, mogłoby rozbić spójność obozu bezkompromisowej walki o niepodległość. Argumentowi temu brak mocy przekonywującej: jeśli są nadal ludzie, których postawa nasuwałaby tego rodzaju obawy, to chyba ich możliwości szkodliwego działania byłyby właśnie większe, a nie mniejsze, w razie ich pozostania poza centralnym ośrodkiem polityki polskiej, z wszystkimi jego powiązaniami i hamulcami. W zjednoczeniu sił narodu znajdują się przecież tylko ci, którzy bezwzględnie staną na gruncie niepodległości i całości Państwa Polskiego.

Trudno dziś jeszcze powiedzieć, kiedy i w jakich warunkach uda się doprowadzić do takiego zespolenia. Póki to jednak nie nastąpi, obowiązywać musi zasada nieczynienia niczego, co by temu zjednoczeniu stawać mogło na przeszkodzie lub prowadziło do dalszego jeszcze rozproszkowania i skłócenia społeczeństwa polskiego. Z tego punktu widzenia sposób, w jaki dnia 7 kwietnia zakończone zostało dwumiesięczne przesilenie w Rządzie Polskim w Londynie, uznać należy za krok wsteczny i szkodliwy.

Mianowanie rządu p. Tomaszewskiego niewątpliwie naruszyło istniejący porządek prawny. Nie jest to rzecz mała, skoro właśnie od przestrzegania tego porządku zależy utrzymanie zaufania między najwyższymi przedstawicielami władzy państwowej a społeczeństwem — zaufania, bez którego istnienie systemu naprawdę konstytucyjnego jest w ogóle nie do pomyślenia i bez którego samo istnienie Prezydenta i Rządu na emigracji zawisa w próżni.

Niezależnie od takich czy innych interpretacji tzw. porozumienia pary-

kiego jedna rzecz jest pewna: mocą tego porozumienia i praktyki, zastosowanej później przy powoływaniu kolejnych rządów, Prezydent R.P. zrzekł się części swej władzy na rzecz głównych ugrupowań politycznych jako wyrazieli prądów, nurtujących społeczeństwo, i jako instytucji niezbędnych dla funkcjonowania ustroju demokratycznego. W tych warunkach mianowanie nowego rządu nie tylko bez udziału stronnictw, stojących na gruncie legalizmu, ale i wbrew wyraźnie wypowiedzianej ich woli, z pewnością narusza i ducha i literę porozumienia paryskiego — tym bardziej, że jak wynika z niżej opisanego przebiegu przesilenia możliwości utworzenia rządu, złożonego z przedstawicieli stronnictw łącznie z bezpartyjnymi zgoda wyczerpane nie zostały.

Rząd p. Tomaszewskiego, powołany w taki sposób i nie mający żadnego politycznego oparcia poza jedną z grup dawnej sanacji, jest całkiem niereprezentatywny — mało: ma charakter wręcz groteskowy. Niezdolny on jest ani do mobilizowania sił społecznych, ani do skutecznego reprezentowania interesów polskich na zewnątrz, przeciwnie pogiębia jeszcze istniejące rozbitcie i obniża szanse sprawy polskiej na terenie międzynarodowym.

Stwierdzamy to z prawdziwym bólem. Dzieło zjednoczenia sił polskich w wolnym świecie zostało znów zahamowane, a przeciwnicy, wewnątrz i zewnątrz, ciągłości prawnej Państwa Polskiego cieszyć się muszą z atutów, jakie im tak nagle wpadły w ręce. Nakazem chwili jest jak najszybsza naprawa szkód już wyrządzonych i radykalne zapobieżenie dalszym; obowiązek ten spada na barki wszystkich, którzy widzą i czują niebezpieczeństwa obecnego stanu rzeczy.

DIARIUSZ PRZESILENIA

Dzieje najdłuższego i najdziwniejszego kryzysu gabinetowego w historii Polski domagają się uwiecznienia w najistotniejszych bodaj fragmentach. Dobrowolna dyskrekcja, jaką w tej sprawie zachowały stronnictwa polityczne, sprawiła, że publiczność na ogół nie orientowała się w przebiegu przesilenia lub orientowała się źle. A oto daty:

5 lutego, na trzy dni przed zapowiedzianym wyjazdem prezesa Stronnictwa Narodowego do Ameryki, ministrowie Kuśnierca, Pragier i Sopicki podają się do dymisji, wywołując tym kryzys gabinetowy. Tegoż dnia premier Komorowski składa dymisję rządowi prezydentowi Zaleskiemu. Prezydent zastrzega sobie czas do namysłu nad przyjęciem dymisji.

7 lutego w prasie kontynentalnej i w radio paryskim pojawia się wiadomość

o dymisji rządu polskiego w Londynie i o tym, że nowy rząd utworzy p. Tomaszewski, prezes Izby Kontroli.

Tegoż dnia odbyła się konferencja stronnictw u Prezydenta i Stronnictwo Pracy, odpowiedzialne za wywołanie kryzysu, zgłasza kandydaturę gen. Komorowskiego na szefa rządu.

10 lutego Prezydent przyjmuje dymisję rządu. (Prezes Bielecki jest już w drodze do Stanów.) Równocześnie wysłał do gen. Komorowskiego list, stanowiący zupełne novum w praktyce państwowej. W liście tym Prezydent ostro krytykuje ustępujący rząd i udziela wskazówek, jaki powinien być nowy rząd.

Od 12 lutego do 2 marca toczą się mozolne pertraktacje gen. Komorowskiego o utworzenie rządu stronnictw. Dwukrotnie (23 lutego i 2 marca) gabinet jest, jak się zdaje, gotów i oba razy Stronnictwo Pracy zmienia w ostatniej chwili stanowisko, przekreślając układ.

2 marca gen. Komorowski zrzeka się misji tworzenia rządu.

5 marca konferencja u Prezydenta z udziałem prez. Tomaszewskiego, gen. Andersa i gen. Komorowskiego. Ten ostatni rezygnuje z wszelkich dalszych prób tworzenia rządu.

7 marca ukazuje się komunikat PAT o powierzeniu misji tworzenia nowego rządu inż. Różańskiemu, prezesowi Zjednoczenia Polkięgo i Wielkiej Brytanii. Komunikat zredagowany jest w ten sposób, iż robi wrażenie, że inż. Różański otrzymał misję w wyniku narad z przedstawicielami stronnictw. W istocie stronnictwa zaskoczone są całkowicie tą wiadomością.

9 marca inż. Różański, po przeprowadzeniu wstępnych rozmów ze stronnictwami, wycofuje się i nie podejmuje się misji tworzenia rządu.

11 marca przedstawiciele Stronnictwa Narodowego zgłaszają oficjalnie kandydaturę p. Zygmunta Berezowskiego, ministra spraw wewnętrznych, na szefa rządu. Stronnictwo Pracy wysuwa na tę kandydaturę gen. Andersa, a w drugiej kolejności prof. Strońskiego.

Od 11 marca do końca miesiąca oficjalnie nie dzieje się nic. Prezydent przeprowadza szereg rozmów z poszczególnymi ludźmi. Staje się jasne, że gen. Anders kandydatury nie przyjął. Min. Berezowski misji nie otrzymuje.

31 marca prezydent Zaleski i gen. Anders udają się do chorego prez. Tomaszewskiego i następuje powierzenie mu misji tworzenia rządu. Ukazuje się list prezydenta Zaleskiego do p. Tomaszewskiego, w którym poleca on mu utworzyć rząd bez partii, jeśli partie odmówią udziału, i zleca jak najszybsze mianowanie Rady Narodowej.

1 kwietnia prez. Tomaszewski zwraca się do stronnictw z propozycją rozmów. Stronnictwo Narodowe na piśmie stwierdza naruszenie praktyki konstytucyjnej i zasad demokratycznych w sposobie powierzenia misji p. Tomaszewskiemu.

W nocy z 4 na 5 kwietnia p. Tomaszewski wysłał replikę, żądając odpowiedzi do wieczora tegoż dnia.

6 kwietnia delegacja Stronnictwa Narodowego w osobach prof. Folkierkiego i m.c. Stypukowskiego udaje się do Prezydenta i raz jeszcze przedkłada mu

fatalne skutki, jakie musi za sobą pociągnąć utworzenie rządu prezydenckiego, powtarza gotowość wzięcia odpowiedzialności za rząd, a także gotowość zgody na rząd stronnictw pod przewodnictwem neutralnego premiera. Rozmowa wyniku nie daje.

7 kwietnia ogłoszenie powstania „rządu“, złożonego z premiera i ministra skarbu p. Tomaszewskiego, ministra bez teki p. Rućka (z grupy SL „Wolność“) i ministra obrony narodowej oraz spraw wewnętrznych gen. Odzierzyńskiego. Kierownictwo MSZ powierzono radcy Sokołowskiemu.

Przesilenie trwało 63 dni (tyle co powstanie warszawskie). Z tego „targi paryżne“ zajęły dni 19. Reszta tonie w mroku „komnat zamkowych“.

TEKST OŚWIADCZENIA STRONNICTWA NARODOWEGO

W związku z powołaniem w dniu 7 kwietnia rządu p. Tadeusza Tomaszewskiego, Stronnictwo Narodowe oświadcza co następuje:

W oświadczeniu z dnia 30 listopada 1939 r. Prezydent R.P., Władysław Raczkiewicz, ograniczył przyznana sobie przez konstytucję kwietniową arbitralną władzę w zakresie powoływania najwyższych organów państwa. Oświadczenie to było nie tylko aktem politycznym, dokonany w celu pogodzenia opinii publicznej z dalszym stosowaniem konstytucji kwietniowej, lecz również zobowiązaniem do postępowania w pewien określony sposób przy wykonywaniu przepisów tej konstytucji. Znaczenie tego zobowiązania jest tym większe, że zostało ono złożone wobec Narodu, bezwarunkowo i publicznie, oraz przekazane wyraźnie następcy i przez niego przyjęte.

Sposób wykonywania oświadczenia z dnia 30 listopada 1939 r. ustaliły precedensy z okresu przesileni rządowych w latach 1943, 1944, 1947 i w pierwszej fazie ostatniego przesilenia. Przyjęto wówczas, że ustalenie kandydata na premiera wymaga porozumienia ze stronnictwami, które wchodziły w skład rządu. Precedensy te wytworzyły praktykę konstytucyjną, zmierzającą do przywrócenia zasad demokratycznych, naruszonych przez konstytucję kwietniową. Znaczenie prawne praktyki konstytucyjnej, powstającej obok pi innych form ustrojowych, jest niezaprzeczalne: w państwach demokratycznych praktyka ta nieraz precyzuje lub uzupełnia pisana konstytucję. Praktyki konstytucyjnej nie można zmieniać jednostronnie, gdyż wchodzi tu w grę interes publiczny, wartościowany nie przez jednostkę, lecz przez żywe siły społeczeństwa. Ponadto, dla oceny legalności aktu konstytucyjnego, nie wystarczy sięgnąć tylko do tekstu konstytucji: trzeba uwzględnić całość stanu prawnego, wytworzonego w okresie stosowania tej konstytucji. Uchylenie się od stosowania zasad deklaracji z 30 listopada 1939 r. oznacza, nawrót do autorytatywnego systemu przedwojennego, odrzuconego przez ogół społeczeństwa w kraju i na emigracji, a zwalczanego przez Stronnictwo Narodowe od samego początku.

Z tych względów Stronnictwo Narodowe, w trosce o utrzymanie nadal zasady ciągłości państwowej, musi siewierdzić, że rząd p. Tadeusza Tomaszewskiego, powołany nie tylko bez porozumienia ze stronnictwami, stanowiącymi podstawę dotychczasowych rządów, lecz nawet bez powiadomienia ich o tym, jest rządem, mianowanym wbrew przyjętym zobowiązaniom i z naruszeniem obowiązującego stanu prawnego.

Ponadto Stronnictwo Narodowe stwierdza, że przy powołaniu rządu p. Tomaszewskiego została naruszona jedna z podstawowych zasad ustrojów demokratycznych, zasada reprezentacji. Rząd ten nie reprezentuje bowiem ani zorganizowanej opinii kraju, ani nawet żadnej z grup politycznych działających na uchodźstwie. Oparcie rządu wyłącznie na jednolitych wyrazach poważną szkodę polityce polskiej: szkoda ta jest tym większa, że ów obecny wymaga skupienia wszystkich żywych sił politycznych w walce o całość i niepodległość państwa. Rozwiązanie ostatniego przesilenia w duchu odbudowy i jedności narodowej było zupełnie możliwe. Wyużycie zarzuty, jakoby Stronnictwo Narodowe utrudniało rozwiązanie przesilenia, nie odpowiadają prawdzie. Stronnictwo Narodowe nie ponosi odpowiedzialności ani za jeden dzień kryzysu i żadnej możliwości utworzenia rządu przez uzgodnionego kandydata na premiera nie udaremniło. Właściwą przyczyną powstania kryzysu i jego przewlekania był zamiar przeszkodzenia Stronnictwu w skupieniu pod sztandarem walki o całość, niepodległość i ciągłość prawną Państwa Polskiego wszystkich żywych sił politycznych Narodu.

Stronnictwo Narodowe dążyć będzie wszystkimi dostępnymi środkami do przywrócenia naruszonego porządku prawnopolitycznego, opartego o zasady demokratyczne, i powołania rządu, który by nie rozbił i nie paraliżował sił narodowych, lecz przygotował drogę do ich całkowitego zjednoczenia w służbie Narodowi i Państwu.

Londyn, 11 kwietnia 1949 r.

WALKA ZE STRONNICTWAMI

Ruchy o charakterze totalistycznym czy kliki personalne, dążące do uchwylenia władzy w swe ręce, zwykły deklamować szczególnie dużo na temat demokracji, ustroju demokratycznego, dążeń mas ludowych itd. W ten sposób starają się mylić oczy społeczeństwa i sępiąć jego czujność. Is nieje wsz kże niezawodny środek — rodzaj papierka lakmusewego — na rozpoznanie ich właściwego charakteru i zamierzeń. Jedną z głównych metod propagandowych tych ugrupowań jest mianowicie dyskredytowanie stronnictw politycznych — nie tego czy innego kierunku, ale stronnictw w ogóle, jako niezbędnego czynnika życia politycznego.

Propaganda tego typu zaczyna się zwykle od wmawiania czytelnikom czy słuchaczom, że istniejące główne ruchy polityczne już się przeżyły i nie są zdolne do sprostania rowym wymogom życia, że ich przewodzący to albo ramole, albo ludzie zajmujący się polityką wyłącznie dla własnego interesu itd. itd.

Powierzchnowa nawet obserwacja pokazuje, że takie właśnie były czołowe slogany propagandowe, którymi w okresie międzywojennego dwudziestolecia, a także w okresach wcześniejszych, posługiwała się propaganda grup totalistycznych i dyktatorskich w całym świecie.

W krajach strefy sowieckiej walka z głównymi stronnictwami politycznymi, prowadzona przez reżymy komunistyczne, posiadała i posiada pewien dodatkowy jeszcze aspekt. Stronnictwa te wyrosły z rodzimych sił społecznych, stały się tradycyjnymi instytucjami systemu politycznego — i dlatego stanowiły poważną przeszkodę dla szybkiej sowietywizacji tych krajów na modłę rosyjską. Sąd furia i zaciełość w niszczeniu tej przeszkody.

Kiedy parę lat temu przybył do Rumunii przedstawiciel rządu sowieckiego p. Wyszyński (dziśiejszy minister praw zagranicznych), by wymusić ustąpienie gabinetu gen. Radescu i powołanie na to miejsce rządu agentów komunistycznych z Grozą na czele, wygłosił on mowę, której główną treścią było również twierdzenie, że „tradycyjne stronnictwa rumuńskie“ — tj. przede wszystkim stronnictwo narodo-chłopskie i liberalne — już się przeżyły i czas je zastąpić „nowymi siłami“.

Jako szczególna osobliwość uderzać musi, że ostatnio wśród emigracji polskiej na Zachodzie podjęta została przez pewne koła kampania przeciw stronnictwom, posługująca się bardzo podobnymi sloganami i wyrażeniami. Czytaliśmy np. niedawno w jednym z tygodników, zbliżonych do kół „sanacyjnych“, o przeżyciu się tradycyjnych stronnictw polskich. Inne pismo, pretendujące do miana „bezparyjnego“, propagując przeciw stronnictwom uprawia bardziej dyskretnie, ale równie wytrwale i systematycznie.

Zbieżność z określeniami p. Wyszyńskiego, przedstawiciela imperializmu rosyjskiego, jest tu oczywiście niezamierzona i nieprzewidziana przez autorów. Niemniej propaganda tego typu mieć może tylko jeden cel: podkopanie roli i znaczenia stronnictw, by na miejsce ich ustanowić nieodpowiedzialne rządy kliki czy koterii.

Czas przestrzec przed tą robotą. Stronnictwa polityczne mają wiele wad i słabych stron, ale jedynie one zapewnić mogą funkcjonowanie u troju demokracji i kontrolę społeczeństwa nad rządzącymi. Jeśli chodzi o nasze główne ruchy polityczne, to nie tylko położyły one wielkie zasługi w minionym półwieczu polskiego życia narodowego, ale i stanowią główny zrąb polskiego państwa podziemnego w czasie ostatniej wojny, narażając się na ogromne ofiary ze strony wroga. Ich żywotność — mimo błędów politycznych, jakie niektórzy z nich popełnili —, a także ich zdolności regeneracji w przyszłej oswobodzonej Polsce nie mogą być poważnie kwestionowane. Kto prowadzi kampanię przeciw stronnictwom, jako instytucji ustrojowej, nie tylko pomaga w niszczeniu tych sił politycznych, jakie zdołały ocalać z kaźni hitlerowskiej i bolszewickiej, ale i podważa możliwość jakiegokolwiek sensownego użycia stosunków wewnętrznych w Polsce w przyszłości.

PREZES BIELECKI W CHICAGO

Po rozmowach w stolicy Stanów Zjednoczonych i wystąpieniach, o których piszemy na innym miejscu, prezes Bielecki udał się do Providence, stolicy stanu Rhode Island. Połączone Izby parlamentu stanowego wysłuchały jego przemówienia na temat połączenia międzynarodowego i sprawy polskiej. Wprowadził go jako mówcę gubernator stanu Rhode Island. Izby przyjęły przemówienie z wielkim aplauzem i posiedzenie przekształciło się w manifestację.

Providence jest miastem rodzinnym obecnego przewodniczącego rządzącej partii demokratycznej.

Przed świętami prezes Bielecki przybył do stanu Michigan. Zapowiedziane jest jego duże wystąpienie publiczne w Chicago.

U. G.

Przedstawiciel jednej z dykasterii urzędniczych (że użyjemy wyrażenia z listu prez. Zaleskiego), zaatakowany przez przyjaciela o niepoważny skład gabinetu p. Tomaszewskiego, zaczął tłumaczyć, że jest to rząd przejściowy, to co po angielsku nazywa się Caretaker Government. — Nie — przerwał mu rozmówca — to jest Undertaker Government.

A CI SWOJE

Żadne wydarzenia polityki zagranicznej czy wewnętrznej nie wytrąca z kontemplacji pewnej grupy, która uwzięła się z powstania warszawskiego uczynić coś zupełnie przeciwnego, niż było: z głębokiej tragedii narodowej, uświęconej bezprzekładnym poświęceniem społeczeństwa — czyn zbrojny — według przepisów ustalonych przed wojną na akademiach i paradach Strzelca.

Gdy więc ktoś chce zanalizować przyczyny i okoliczności powstania warszawskiego, grupka zawodowych bohaterów stosuje wszystkie metody od świętego oburzenia, do szantażu personalnego włącznie, żeby tylko dalej o powstaniu mówić raz na rok, w rocznicę, w tonie kadzidłanym. Każdy przejaw rzeczowej dyskusji jest tępiony, z odwołaniem się od razu do „najwyższych autorytetów“. Nawiasem mówiąc autorytety te niepotrzebnie się angażują w takiej robocie, skoro nie o personalia tu chodzi.

Chodzi zaś o ustalenie pewnej obiektywnej prawdy historycznej, tak jak inne narody mówią o swoich klęskach. Żadne inne narody z dośkliwych klęsk nie czynią przedmiotów kultu, a tym bardziej nie pozwalają na tworzenie fałszywych legend, które tylko stnowią dalszy wzór na następną tragedię. Ile w motywach powstania warszawskiego było nieznośnej w polityce, a tak zakorzenionej u nas bezmyślnej gloryfikacji „czynu“, zrywów, powstań i ofiar — ile zaś rzetelnego rachunku wojskowego i politycznego — oto zadanie do ustalenia. Opinia polska dotychczas ma same wypowiedzi ludzi, zainteresowanych w utrzymaniu tonu rocznicowego, gdy się mówi o powstaniu.

Ostatnio właśnie, po artykułach w „Płocówce” na temat organizacji wojskowej za czasów okupacji niemieckiej i samego powstania, pisanych przez p.k. Ruki.ki.g., odezwał się „Biuletyn Informacyjny”, organ Związku AK, jak za najlepszych czasów pp. Rzepeckiego, Sanjcy i innych „demokratycznych wodzów” Armii Krajowej w dziedzinie politycznego myślenia i działania. „Biuletyn Informacyjny” przyrównuje wypowiedzi „Płocówki” do głosów prasy komunistycznej na temat powstania, usiłując w ten niezbyt pomysłowy sposób zamknąć usta. Inny chwyt — to próba zastraszenia autora artykułów z „Płocówki” przypomnieniem jakichś wydarzeń z okresu powstania. Na takie metody odpowiedzieć można tylko pogardliwym wzruszeniem ramion. Żałować również trzeba, że nawet uczeni ludzie dają wykorzystywać swe nazwisko dla akcji zwalczania prawdy.

Dyskusja spokojna i rzeczowa, niezależna od wszelkiego rodzaju związków i koterii, powinna się odbyć, choć to wcale nie znaczy, by np. polityka polska miała się na tej dyskusji opierać. Dobrze jednak będzie, jeżeli ta polityka nie będzie opierać się na frazesach, z których ktoś chce odcinać polityczne kupony.

CURIOSUM

Swego rodzaju curiosum stanowi wydana rzekomo w Paryżu, częściowo wierszowana i ilustrowana naiwnymi fotomontażami, broszura o podwójnym tytule, a mianowicie: „January Marchutowski. Jak Michał na lipie dyndał... Sensacyjny romans kryminalny (dla młodzieży zakazany) — por. Ryt — kpt. Bystrzyc. O polskiej lipie poemat historiozoficzny poświęcony dzieciom i młodzieży polskiej w kraju i z granicą jako podręcznik kontrofensywy przeciw agresji euroazjatyckiej maskarady totalnej. Młodej rówieśnikami — synowie jednego z autorów w okupowanej Polsce, którego imię „Podarek Niebios” przestanie być pseudonimem, gdy Ojczyzna będzie wolna!”. Z pozostałych 64 stron połowę stanowią symboliczne fotomontaże, drugą zaś mieszanina prozy i wiersza ujęta w kilkadziesiąt fragmentów opatrzonych dziwnymi numerami i bardzo fantastycznie łamanymi.

Najbardziej niespodziewanym fragmentem jest zamieszczony na obwolucie fragment listu i fascimile Prezydenta R.P., w którym czytamy, że autorzy „dali uchodźctwu utwór poetycki podnoszący na duchu i pobudzający do walki o wielkość Ojczyzny”.

PIERWSZEŃSTWO EUROPY

Wybitny ekonomista brytyjski Sir Walton Layton, przemawiając do 200 delegatów na konferencji Ruchu Europejskiego w Londynie, wymienił trzy czyniki, które jego zdaniem zasadniczo przobrazowały układ stosunków w świecie. Czynniki te to: opanowanie Chin przez komunistów, niepodległość Indii oraz wykuwana obecnie jedność Europy.

W sformułowaniu tym, które jest wielkim skrótem, chodziło zapewne autorowi o wybitnie potężną ludnościowego, jaki każdy z wyżej wymienionych ob-

szarów przedstawia z punktu widzenia zbliżającej się próby sił między blokiem sowieckim a światem cywilizacji zachodniej.

Jeśli chodzi o Chiny, to istotnie podobój ich przez wojska komunistyczne jest już dzisiaj procesem nieodwracalnym. Eksperci amerykańscy oceniają, że w ciągu najbliższego półtora roku cały obszar Chin znajdzie się pod władzą rządu komunistycznego. Co więcej, wypadek oszerezenia okrętów brytyjskich na rzece Jangtse rozwił ostatecznie błakające się jeszcze w niektórych kołach na Zachodzie złudzenia, że z komunistycznymi Chinami będzie można dalej utrzymywać stosunki handlowe i że przewódcą komunistów chińskich Mao Tse-tung pójdzie raczej śladami Tity. Nawet ci korespondenci pism brytyjskich, którzy jeszcze rok temu przypisywali wszystkie cnoty komunistom jako jedynym szczerym reformatorom społecznym w Chinach, przyznają obecnie, że ludzie ci są najpierw i przede wszystkim komunistami, a potem dopiero Chińczykami. Znaczenie wypadków w Chinach polega na tym, że nie mogą one pozostać bez wpływu na całym obszarze Azji południowej. To co się stało w Pekinie i Nankinie, może się powtórzyć we francuskich Indochinach, holenderskiej Indonezji, brytyjskich Malajach, niepodległej Burmie, a nawet Indiach. W istocie rzeczy jedynie stacjonowane tam garnizony mogą te kraje utrzymać jako bazy strategiczne i surowcowe dla mocarstw zachodnich.

W tych warunkach punkt ciężkości nadal stanowią musi Europa. Stąd też w planowaniu strategicznym sztabu amerykańskiego, jak się zdaje, przyjęto tęzę francuską, według której co najmniej linia Renu musi być nie tylko broniona na wypadek agresji sowieckiej, ale także obroniona. W każdym razie wynikałoby to z oświadczenia szefa sztabu amerykańskiego generała Bradleya, który oświadczył w związku z podpisaniem paktu atlantyckiego, że Ameryka nie może liczyć na swoich przyjacielów w Europie zachodniej, jeśli plan amerykański przewidywał pozostawienie ich wrogowi z obietnicą późniejszego oswobodzenia. Stąd wniosek, że siły wojskowe — w tym także siły amerykańskie — muszą być uplasowane w Europie.

Plan finansowy dozbrojenia krajów europejskich napotka jeszcze opory w Kongresie, nie ulega jednak wątpliwości, że przyjęcie samej zasady uzbrojenia Europy stanowi olbrzymi krok naprzód i poważnie przybliży moment oswobodzenia Europy środkowej.

SOWIECKA PRÓBA POKOJOWA

Zaniepokojona szybkim procesem usztywniania się polityki mocarstw zachodnich oraz rezultatami odbudowy gospodarczej w Europie zachodniej, Moskwa zdecydowała się skoncentrować główne swe wysiłki na problemie niemieckim. Doraźnym celem tych wysiłków jest przeszkodzenie powstaniu rządu zachodnio-niemieckiego, który by oznaczał ostateczną polityczną i ekonomiczną powiązanie zachodnich stref niemieckich z blokiem atlantyckim. Tym się tłumaczy szeroko kolportowane pogłoski o zamia-

rze sowieckim przerwania blokady Berlina oraz rzekomym planie, w którym Rosja miałaby zaproponować wycofanie wojsk okupacyjnych z całych Niemiec.

Plan taki, jeżeliby został przyjęty, dałby Związkowi Sowieckiemu doskonałą szansę wygrania tendencji nacjonalistycznych niemieckich do usamodzielnienia Niemiec i wygrywania konfliktu między blokiem wschodnim a mocarstwami zachodnimi dla utwierdzenia tej samodzielnosci. Fakt bowiem, że Niemcy są dzisiaj antykomunistyczne bynajmniej nie oznacza, iż politycy niemieccy nie skorzystaliby z nadarzającej się okazji połączenia na razie ziem niemieckich w jedną całość, z nadzieją odzyskania później choćby części polskich ziem rewindykowanych na wschod od Odry i Nisy Łużyckiej. Nagły opór socjalistów niemieckich w sprawie konstytucji dla Niemiec zachodnich tłumaczy się nie tylko różnicą zdań co do struktury politycznej, ale także chęcią odroczenia zasadniczej decyzji powołania do życia osobnego organizmu państwowego zachodnio-niemieckiego dla wyższych celów polityki niemieckiej.

W obecnym momencie trudno jednak sobie wyobrazić, by mocarstwa zachodnie pokojową ofertę sowiecką traktowały poważnie nawet jeśli Moskwa zobowiązała się, iż zaniecha próby opanowania władzy w Niemczech przy pomocy partii komunistycznej. Zagadnienie Niemiec bowiem jest tylko fragmentem szerokiego frontu, na którym rozgrywa się „zimna wojna”. Ponadto takie prowizoryczne załatwienie problemu niemieckiego nie rozwiązuje jeszcze zagadnienia Europy jako całości, przeciwnie jeszcze bardziej by je skomplikowało.

Jako wyraz kół politycznych na Zachodzie warto przytoczyć opinię londyńskiego „Observera”, który zdecydowanie odrzuca sugestie dojścia do porozumienia z Rosją na odcinku niemieckim bez jednoczesnego zaprzestania agresji komunistycznej w Chinach, działań dywersyjnych w Azji południowej i Grecji, systemu prześladowań i łamania traktatów pokojowych w Europie wschodniej, a przede wszystkim przyjęcia przez Rosję kontroli międzynarodowej energii atomowej. Co do oferty zaś wycofania wojsk z Niemiec, pismo zwraca uwagę, że mocarstwa zachodnie opuściłyby trzy czwarte Niemiec wzamian za wycofanie się Armii Czerwonej z jednej czwartej. Sens taki targ miałby wówczas — dodaje autor — gdyby Rosja jednocześnie wycofała się z Polski do linii Curzona (niezależna jeszcze wciąż linia Curzona!).

Ale nawet i tak lista warunków jest zbyt długa, by coś mogło wyjść z ostatnich prób pokojowych Kremla.

WYJAŚNIENIE

W związku z notatką pt. „Nonsensowne i szkodliwe”, zamieszczoną w poprzednim numerze „Myśli Polskiej”, sprawdziliśmy, że omawiane w tej notatce wystąpienia miały charakter sporadyczny i przypadkowy. Z satysfakcją możemy stwierdzić, że akcja propagandy partyjnej w wychowaniu młodzieży harcerek w Wielkiej Brytanii nie jest prowadzona.

ADAM NIEBIESZCZANSKI

Z AMERYKAŃSKIEJ PERSPEKTYWY

(Korespondencja własna „Myśli Polskiej“)

Nowy Jork, w kwietniu 1949 r.

TRUMAN i Acheson wielokrotnie dawali wyraz przekonaniu, że gdyby coś na wzór paktu atlantyckiego istniało przed pierwszą i drugą wojną światową, Niemcy nie odważyłyby się rozpętać burzy. By zaś kandydatem na napasników nie pozostawić żadnej wątpliwości co ich czeka w wypadku pchnięcia wojsk do ataku, prezydent dość nieoczekiwanie zarysował przed nimi widmo nowej Hiroshimy.

Ze słów Trumana wynikałoby, że w wypadku ataku Sowieców, np. na Norwegię, logiczną odpowiedzią Stanów Zjednoczonych będzie wypowiedzenie wojny. Taka opinia panuje powszechnie wśród polityków i społeczeństwa amerykańskiego, jak i wśród przedstawicieli państw obcych, które przystąpiły do atlantyckiego systemu obronnego. Opinii tej nie zmieniają oficjalne zapewnienia rzeczników administracji, składane w Senacie, że pakt nie wiąże Ameryki ani w sensie prawnym, ani w sensie moralnym, do wypowiedziania wojny w razie ataku z zewnątrz na jednego z sygnatariuszy traktatu. Rozbieżność między oświadczeniami w Kongresie, składanymi po to, aby nie drażnić senatorów, czujących na swe konstytucyjne prawa, a podkornym przeświadczeniem prezydenta, rządu i większości społeczeństwa, tłumaczy się tym, że choć z litery traktatu żadne automatyczne zobowiązania wojenne nie wynikają, w praktyce presji Ameryki i groza położenia nie dopuszczają innego rozwiązania poza wojną.

Dyskusja, jaka toczy się na powyższe tematy w Kongresie i w prasie, posiada jednak raczej charakter akademicki, wobec powszechnego przeświadczenia, że pakt atlantycki odsuwa na daleki plan, jeśli w ogóle nie zapobiega agresji i wojnie. Rosja sowiecka w obawie przed Stanami Zjednoczonymi nie rozpocznie nowej awantury. Groźba Trumana użycia bomby atomowej, oraz zapowiedź uzbrojenia partnerów traktatu, złożona przez generała Omara Bradleya, szefa sztabu armii, podczas Army Day w dniu 5 kwietnia, uzupełniają północno-atlantyczny system obronny, który — zdaniem inicjatorów — gwarantować ma na długie lata pokój światowy.

Proces budowania atlantyckiego systemu bezpieczeństwa nie jest jeszcze zakończony, gdyż zarówno ratyfikacja traktatu przez Senat, jak i uchwalenie przez Kongres pomocy wojskowej dla Europy zachodniej, zajmą wiele czasu. W Senacie izolacjoniści rzucili maskę i uprawiają swego rodzaju „filibuster“, zgłaszając mnóstwo poprawek do wszelkich projektów ustawodawczych, związanych z polityką zagraniczną. „Enfant terrible“ Senatu, William Langer (rep., N. Dak.), oraz tradycyjny izolacjonista William Jenner (rep., Ind.) nie są tu wyjątkami. Leader mniejszości, Kenneth Wherry (rep., Neb.), szereg Dixiekratów, a nawet przewodniczący komisji spraw zagranicznych, Tom Connally z Teksasu, starają się osłabić i stę-

pić pomysły administracji, zmierzające do związania Ameryki ze starym kontynentem. Blok izolacjonistów republikańskich i konserwatywnych demokratów posiada wystarczające siły, aby odwlec i utrudnić ratyfikację traktatu i projekty uzbrojenia Europy. Administracja przechodzić będzie w Senacie ciężkie chwile. Na dłuższą metę jednak opory zostaną niewątpliwie przewyciężone, gdyż prorządowi demokraci posiadają potężne wsparcie w postaci Arthura Vandenberg, Cabota Lodge'a i wielu innych „internacjonalistów“ republikańskich.

DZIEJE 22 MIESIĘCY

Od przemówienia Marshalla w Harvard do podpisania paktu atlantyckiego



Prezes Bielecki w otoczeniu przedstawicieli Polonii amerykańskiej. Pierwszy od lewej p. Fronczak, członek Komitetu Narodowego w Paryżu w 1919 roku.

upłynęły dokładnie 22 miesiące. Był to okres krystalizowania się amerykańskiej polityki zagranicznej. Po niesławnym okresie appeasementu, zastąpionym okresem „polityki kablowej“, czyli okresem łatania dziur od wypadku do wypadku bez planu przewodniego, nastąpiło dojrznięcie poczucia odpowiedzialności za losy świata i formułowanie ogólnych założeń, które stanowić miały podstawę poczynań dyplomatów amerykańskich we wszystkich zakątkach świata. Sformułowania te dokonały się wcześniej na odcinku europejskim dzięki temu, że dział Europy w Departamencie Stanu obsadzony był pod względem personalnym znacznie lepiej, aniżeli np. dział Dalekiego Wschodu, w którym John Vincent Carter prowadził politykę wyraźnie prokomunistyczną. Na tle ogólnej zasady powstrzymywania Sowieców („containment“) zrodził się naprzód plan odbudowy i stabilizacji gospodarczej Europy zachodniej, wyrażony praktycznie w instytucji „Europejskiego Planu Odbudowy“, potem zaś logiczny projekt

oparcia tej stabilizacji na poczuciu bezpieczeństwa, które zapewnić miały z jednej strony gwarancje dyplomatyczne Stanów Zjednoczonych, z drugiej zaś dostawy materiałów wojennych i odbudowa potencjału wojskowego Europy.

Obecny rozwój poczynań Ameryki na odcinku europejskim żywo przypomina okres od września 1939 r. do dnia Pearl Harbour, kiedy to od zniesienia embarga na sprzedaż broni, przez „lend-lease“ i strzelanie do niemieckich korsarzy, Stany Zjednoczone znalazły się w stanie wojny. Nie jest rzeczą tego artykułu analizowanie, czy nadzieje Trumana i jego współpracowników na utrzymanie pokoju w oparciu o atlantycki system bezpieczeństwa są uzasadnione. Nie od rzeczy jednak będzie stwierdzenie, że mimo powszechnego w Stanach Zjednoczo-

nych pragnienia utrzymania pokoju, opinia publiczna przygotowana jest w sensie moralnym do wojny z Sowiecami. Postawa społeczeństwa, tak ważna — a może i decydująca — w ustrojach demokratycznych, sprzyja oświadczeniu Trumana na temat użycia w razie potrzeby bomby atomowej przeciw Sowiecom. Byłoby niebezpiecznym złudzeniem ze strony władców Kremla, gdyby wierzyli oni, że komunistyczna piąta kolumna potrafi w wypadku wojny zmobilizować pięknoduchów amerykańskich i presją moralną uniemożliwić użycie bomby atomowej. Pod tym względem jest obecnie w Stanach Zjednoczonych o wiele lepiej aniżeli w grudniu 1941 roku.

GRANICE SYSTEMU

Pakt atlantycki daje odpowiedź tym, którzy głosili się, jak Amerykanie widzą w sensie geograficznym granice swego systemu bezpieczeństwa na odcinku europejskim. Poza Szwecją i Szwajcarią, cały pas na zachód od linii

Łąby wszedł w obręb traktatu. Hiszpania, choć formalnie pozostaje poza paktem, praktycznie jest nim objęta, gdyż obrona Francji czy Portugalii jest równocześnie obroną Hiszpanii. Oczywiście granice geograficzne systemu atlantyckiego nie były rysowane tylko pod kątem widzenia bezpieczeństwa Ameryki. Zasadą drugą, może i główną, była obrona wolnych narodów. Dowodem, że obie zasady się nie pokrywały, jest dyskusja, zapoczątkowana przez Johna Foster Dullesa, który opowiedział się przeciw włączeniu do systemu obronnego Norwegii jako niepotrzebnemu drażnieniu Sowietów. Dulles znalazł sporo zwolenników dla swego stanowiska i senatorem Robertem Taftem na czele, Udział Norwegii i Danii w systemie atlantyckim będzie niewątpliwie atakowany w Senacie podczas dyskusji nad ratyfikacją. Fakt jednak pozostaje faktem, że Stany Zjednoczone uznały granice wolnej Europy za swoje granice bezpieczeństwa, kończąc w ten sposób przewlekłą dyskusję czy należy bronić linii Łąby, czy Renu, czy może dopiero wysp brytyjskich.

Poza północno-atlantyckim systemem obronnym pozostają obrzybite tereny Dalekiego Wschodu, południowo-wschodniej Azji, Bliskiego i Środkowego Wschodu. Logiczny rozwój wypadków idzie w kierunku przekształcenia akcji amerykańskiej na terenie Turcji i Grecji, opartej na doktrynie Trumana, w śródziemnomorski system obrony, pojęty jako przedłużenie systemu atlantyckiego. Na dalszym, bardzo odległym planie jest sprawa Dalekiego Wschodu. Na tym odcinku administracja nie wykazuje inicjatywy, wyczekując na rozwój wypadków w Chinach. Wprawdzie widmo Vincenta Cartera nie pokutuje już w Departamencie Stanu, i nie ma tam zapewne złudzeń na temat „reformatorskiego” charakteru chińskich komunistów, żywi się jednak nadzieje, że Sowiety ugrzęzną w kompleksie chińskich zagadnień. Są również tacy, którzy twierdzą, że Mao Tse-tung ma wszelkie zadatki na chińskiego Tito. Dowodem nacjonalistycznych tendencji Mao ma być sprawa Anny Luizy Strong, którą podobno wyrzucono z Rosji za sympatie do wodza chińskich komunistów. Na odcinku Pacyfiku nacisk o sformułowanie stanowczych i jasnych założeń płynie od strony republikanów w Kongresie, którym przewodzi poseł Walter Judd (rep., Minnesota), były misjonarz w Chinach. Juddowi idą w sukurs znani specjaliści od spraw chińskich: gen. Albert Wedemeyer, b. ambasador Patrick Hurley, William Bullitt i inni. Na przełomie marca i kwietnia Stassen wystąpił na forum „Massachusetts Institute of Technology” z projektem „planu MacArthur’a”, który zapewniłby miał obronę Stanów Zjednoczonych od strony Pacyfiku w granicach obecnej linii podziału wpływów sowieckich i amerykańskich. Odpowiedzią administracji, zamykającą usta rzecznikom budowy systemu bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie, jest koszt tej imprezy, wychodzący rzekomo poza możliwości podatnika amerykańskiego. Nie należy zatem przypuszczać, że administracja wystąpi z konkretnym planem przed wyklarowaniem się sytuacji w Chinach.

Gdyby przyjął literę paktu atlantyckiego za ostateczny wyraz polityki amerykańskiej na odcinku Europy, Polska i cała Europa środkowo-wschodnia, jako położona poza granicami systemu atlantyckiego, byłaby skazana na pozostanie w orbicie sowieckiej do wybuchu wojny sowiecko-amerykańskiej. Ponieważ zaś — zdaniem Trumana i Achesona — pakt atlantycki odsuwa widmo wojny gdzieś w daleką przyszłość, nadzieja wyzwolenia naszej części Europy równałaby się zeru. Tak zarysował sytuację Ernest Bevin w przemówieniu, wygłoszonym w Waszyngtonie z początkiem kwietnia. Jego zdaniem, w ciągu roku po podpisaniu paktu atlantyckiego nastąpi ugruntowanie pokoju trwałym podziałem świata na dwie strefy wpływów. Jedyną pociechą, jaką Bevin mógł zaofiarować Polsce i innym krajom, było podtrzymywanie ich gospodarstwa narodowego przez wymianę handlową z Wielką Brytanią.

WIZYTA BIELECKIEGO

W takiej sytuacji przybył w marcu do Waszyngtonu prezes Stronnictwa Narodowego, dr Tadeusz Bielecki.

Termin przyjazdu wybrany był dobrze. Truman właśnie zaczął czterolecie swych rządów; Acheson stanął na czele Departamentu Stanu; w Kongresie dokonał się właśnie podział na komitety, które opracowywać będą przez dwa lata ustawodawstwo amerykańskie. Gdyby w tym początkowym okresie nie zjawiał się w Waszyngtonie poważny polski polityk, który rysując problem Polski na ogólnym obrazie sytuacji europejskiej umiałby uzyskać poparcie dla swych planów, żywa w Stanach Zjednoczonych sympatia dla Polski mogłaby nie przyoblec się w realne kształty.

Dr Bielecki przybył do stolicy kraju w dniu 6 marca po odbyciu znacznej ilości rozmów orientacyjnych w Nowym Jorku, Rhode Island i Massachusetts. Zetknął się on w tych stanach z czołowymi przedstawicielami amerykańskiego życia politycznego, naukowego i religijnego, z przewodcami Polonii amerykańskiej i polskiej emigracji politycznej. Gubernatorzy stanów, Jan Pastore i Paweł Dever, zajęli się gościami polskimi ze szczerą serdecznością. Ze strony Polonii i prasy polsko-amerykańskiej dr Bielecki spotkał się z dużym zainteresowaniem i nad wyraz przychylnym nastawieniem. Pobyt w wymienionych stanach był dla prezesa SN doskonałym przygotowaniem do rozmów stołecznych.

W Waszyngtonie przebywał dr Bielecki przez blisko trzy tygodnie. Ogólne zarysy tego pobytu znane są z prasy codziennej. Podkreślić jednak należy, że w ciągu tak krótkiego okresu czasu dr Bielecki poznał imponującą jakością i ilościowo listę polityków amerykańskich. W rozmowach na szczeblu wykonawczym prezes Bielecki przedstawił w szczegółach swój pogląd na powiązanie zagadnień wschodnio-europejskich z całokształtem spraw Europy oraz zarysował sposoby i środki ratowania ujarzmionych narodów przed grożącą im zagładą.

Na terenie Kongresu dr Bielecki wygłosił trzy przemówienia. Jedno z nich,

wygłoszone na obiedzie urządzonym dla niego w dniu 22 marca przez grupę posłów z komisji wojskowej, dostało się do wiadomości publicznej wobec zamieszczenia go w „Congressional Record” na wniosek posła Dewey Shorta, przewodcy mniejszości republikańskiej w komisji wojskowej. We wniosku swym Short złożył przewodcy SN wymowne słowa uznania: „I was so impressed with his comprehensive grasp of world affairs, his accurate knowledge of history, and his obvious honesty and love of liberty... Dr Bielecki's statement was so forceful and forthright, so comely and convincing...”

Treść przemówienia podaje w ogólnej postaci tezy przedstawione szczegółowo w rozmowach z przedstawicielami rządu Stanów Zjednoczonych. Odmiennie aniżeli zwykli do czynić politycy z Europy środkowo-wschodniej, dr Bielecki nie straszy Amerykanów wojną. Przeciwnie podaje sposoby uniknięcia wojny przez osłabienie Sowietów.

W obecnym okresie przejściowym naczelnym problemem dla narodu polskiego jest — zdaniem dr Bieleckiego — przetrwanie w sensie materialnym i duchowym. Mówca apeluje o pomoc amerykańską w tym kierunku, o pomoc dla kraju, dla nowej fali uchodźców politycznych oraz dla emigracji. Nawołuje o niemarnowanie sił antykomunistycznych ujarzmionej Europy, gdyż w toczących się zmaganiach świata Eurazji ze światem zachodnim, chrześcijańskim, każde wzmocnienie Zachodu może okazać się nie tylko pożyteczne, ale i decydujące.

Reakcja obecnych, a było ich około 30 z przewodniczącymi sześciu komisji (spraw zagranicznych, wojskowych, budżetowej, rolnej, prawniczej, pracy i wychowania) na czele, była żywiołowa. Zerwali się z miejsc i urządzili Polakowi kilkuminutową owację. Posłowie polsko-amerykańscy otoczyli prezesa Bieleckiego, demonstrując szczerą radość z sukcesu rodaka.

Wystąpienia na terenie Kongresu i żywe zainteresowanie osobą prezesa Bieleckiego i przedstawionymi przez niego problemami ze strony czołowych postaci z obu stron Senatu i Izby Reprezentantów znakomicie wzmocniły jego stanowisko w sferach rządowych.

Nie przesądzając jaką postacią przybiorą wyniki pertraktacji dr Bieleckiego, stwierdzić należy, że zainteresowanie sprawami Europy ze strony sfer rządowych amerykańskich wybiega poza terytorialny zasięg paktu atlantyckiego. Rzucona przez prezesa SN teza „pomóżcie nam przetrwać i nie marnujcie potężnych sił antykomunistycznych Europy środkowo-wschodniej” natrafiła na podatny grunt. Na zaproszenie departamentów rządowych i szeregu członków Kongresu dr Bielecki powraca do Waszyngtonu na przełomie kwietnia i maja.

W przerwach między pobytami w stolicy dr Bielecki odwiedził czy odwiedził kilka głównych ośrodków polsko-amerykańskich z Chicago, Buffalo i Cleveland na czele. Stosunek Polonii do niego nacechowany jest nieklamana serdecznością. Żyje jeszcze tradycje Komitetu Narodowego, którego dr Franczak z Buffalo jest ostatnim żyjącym członkiem.

oraz powiązania Polonii z myślą i ruchem narodowo-demokratycznym, nabrały nowych rumieńców. Polonia w olbrzymiej swej większości jest intuicyjnie związana z ruchem nar. dowym. Faktu tego nie zatną krzykliwe grupki sanacyjne i „sojusze” natury taktycznej, zawierane z przedstawicielami tej czy innej partii politycznej. Od polskiej emigracji Polonia domaga się zgody. Na osiem dzienników polonijnych siedem wyobraża sobie tę zgodę w postaci porozumienia głównych ruchów politycznych w ramach legalizmu. Stąd rozmowy prezesa Bieleckiego z PSL i PPS powitane były z radością, która znalazła wyraz w powodzi przychylnych komentarzy prasowych. Niestety, na czas pobytu dr Bieleckiego w Stanach Zjednoczonych przypadł okres kryzysu rządowego w Londynie. Przebieg i rozwiązanie kryzysu (?) były kompromitacją polskiego legalizmu. Polonia była związana do Prezydenta i Rządu R.P. w Londynie. Szczerze pragnęła oparcia tych instytucji na mocniejszych, szerszych podstawach. Niechaj niżej zamieszczony artykuł redakcyjny „Nowego

Świata” z 5 kwietnia, przedrukowany przez większość dzienników, będzie dowodem takiego właśnie stanowiska Polonii amerykańskiej:

„BY LEGALIZM NIE STAŁ SIĘ PUSTĄ FORMĄ”

„W przemówieniu wygłoszonym niedawno temu w Buffalo, dr Tadeusz Bielecki, prezes Stronnictwa Narodowego, powiadał między innymi, co następuje (początek Redakcji „Nowego Świata”):

„My jedni posiadamy legalny rząd w Londynie, z prezydentem Rzeczypospolitej. Utrzymaliśmy więc ciągłość państwową, a to bardzo ważne, gdyż daje nam niezależność polityczną. Wywodzimy się z własnej tradycji państwowej, a ta chociaż była zła, jest zawsze lepsza od obcej. Będziemy ją zmieniali w kraju, ale nie można jej zmieniać za granicą. Stąd dbamy o legalizm, chcemy go wzmacniać.

„Żeby jednak legalizm nie stał się pustą formą, a byłoby tak, gdyby zale-

żał od jednego tylko człowieka, czy jednej mafii, przeto chcemy mu dać żywą treść w postaci koalicji głównych, tradycyjnych, związanych z krajem stronnictw politycznych.

„Dążąc do tego celu, odbyłem z okazji pobytu w Ameryce rozmowy z prezydentem PPS i PSL. Rozmowy nasze wykazały duże zbliżenie poglądów. Oczywiście nie chcę zgody dla zgody. Nie wolno budować sztucznej konstrukcji, nie wolno w imię zgody odejść od zasad i głównych celów polityki polskiej. Różnice wszędzie istnieją. Chodzi o to, ażeby odrzucić drobiazgi, a skoncentrować uwagę dokoła spraw głównych, decydujących o przyszłości Polski. Żeby uzyskać tego rodzaju trwałe porozumienie, warto poświęcić sporo czasu i wykazać dużą cierpliwość”.

Legalizm w odniesieniu do polskiej ciągłości państwowej może łatwo stać się pustą formą, jak przestrzegają prezes Bielecki. Warto, aby to wzięli sobie do serca ci, którzy po obu stronach Atlantyku naciągają wąską nici tego legalizmu.”

M. E. ROJEK

ZGUBNE DZIEDZICTWO SANACJI

NIEDAWNO, w jednej rozmowie politycznej w Londynie na tematy wewnętrzne, wymieniono oficjalnie jako jeden z czynników politycznych w społeczeństwie polskim na emigracji „zakon piwowane grupy obozu niepodległościowego”. A więc obok stronnictw jawnych, ruchów i organizacji politycznych, oraz stowarzyszeń społecznych, działają ponadto, i są uznawane przez niektórych czynników oficjalne, środowiska polityczne zakonspirowane. Przeciw komu zakonspirowane? Przeciw własnemu społeczeństwu; nie ma innej odpowiedzi.

Odkładając sobie zajęcie się szczegółowe tymi konspiracjami do sposobniejszej pory, postaram się skreślić na tym miejscu kilka uwag ogólnych o tym nieszczęsnym dziedzictwie sanacji w życiu polskim. Konspiracja nie jako doraźna i czasowa organizacja, powołana do życia w celu wymierzenia cisu najeźdźcy czy okupantowi, lecz jako trwała instytucja wewnętrzno-polskiego życia politycznego i społecznego, jest straszliwą chorobą, jakiej nabawił się od zaborec rosyjski Go. Ponieważ Rosja, a w szczególności Ruś moskiewska, od wieków nie zna właściwych cywilizacji zachodniej pokojowych form życia publicznego, wytworzyła ona niezwykle bogate i złożone formy działania politycznego w społeczeństwie przez konspirację, szpiegostwo, donosicielstwo i prowokację. Niestety nie brakło w społeczeństwie polskim jednostek i grup, które walcząc namiętnie z rosyjskim panowaniem w Polsce, ulegały jednocześnie wpływom rosyjskim w dziedzinie koncepcji politycznych i społecznych. Zwyczajna to cena, jaką płaci się za głębokie przeniknięcie psychologii przeciwnika, zwłaszcza jeśli się nie zwraca uwagi na wartości moralne, jakich się

broni, a koncentruje się wyłącznie na stronie taktycznej zmagania.

Doskonałym przewodnikiem tej wschodniej choroby konspiracyjnej okazały się w społeczeństwie polskim polityczne koła piłsudczyzny i wywodzącej się z niej formacji późniejszej, sanacji.

Zdrowie życia politycznego wymaga, żeby każda grupa polityczna, mająca ambitny zamiar wpływania na losy narodu i państwa, starała się zjednać dla swoich koncepcji ogół obywateli, lub przynajmniej poważną jego część. Wtedy wszystko odbywa się w świetle dnia; każdy odpowiada za to co mówi i czyni; błędy stają się widoczne i droga naprawiania ich staje się prosta i równa. Jest to droga stronnictwa politycznego, które stara się zainteresować obywatela życiem publicznym, wytłumaczyć mu i wyjaśnić istotę trudnych zagadnień i zyskać jego poparcie jako człowieka świadomego, zdającego sobie sprawę o co chodzi. Stronnictwo polityczne odwołuje się z jednej strony do rozumu obywatela i jego interesu w ramach wspólnoty narodowej, z drugiej do jego serca, do gotowości dobrowolnego poświęcenia przez niego interesów osobistych i prywatnych na rzecz narodu czy też jednej z grup społecznych narodu, na rzecz interesu publicznego.

Konspiracja nie uznaje tej drogi. Nie stara się ona uzyskać poparcia większości czy też znacznej części ogółu obywateli, lecz stara się zdezorganizować społecznie tych obywateli, a rozumowanie ich o sprawach publicznych zamąć, by tym łatwiej stali się bezładnym i bezwolnym tłumem, prowadzonym przez wtajemniczonych i tajnie zorganizowanych.

Jeśli w normalnie rządzącym się społeczeństwie jakieś stronnictwo polityczne poczyni poważne błędy w działalności

publicznej, ustępuje ono miejsca drugiemu, które tych błędów nie popełniło. Nie tak jest z konspiracją. Ta nigdy nie jest omylna. Stąd to byliśmy świadkami w przedwojennej Polsce, iż bardzo często dobrzy obywatele i patrioci polscy byli zwalczani przez sanację nie tylko politycznie, przy stosowaniu zresztą nadużyć na ogromną skalę, lecz i wygładzani ekonomicznie, więzieni, czasem maltretowani osobście jak np. w Brześciu, dręczeni systematycznie jak np. w Berezie, a ratomiast bardzo często przekupni i łamiący prawo ministrowie, wojewodowie, starostowie czy generałowie, byli nieusuwalni, bo należeli do „sitwy”.

Mistyka nieomylności konspiracji sanacyjnej w Polsce zaczęła się od błędnego i nieodpowiedzialnego pomysłu Józefa Piłsudskiego w 1914 roku wywołania powstania w ówczesnym zaborze rosyjskim w momencie wkroczenia wojsk mocarstw centralnych. Dziś stać nas już na historyczny ośąd tej inicjatywy. Od 1914 r. do dni dzisiejszych mieliśmy niejedną już lekcję poglądową, przede wszystkim w drugiej wojnie światowej, co warte jest rzucanie się do walki w pierwszych dniach konfliktu zamiast oszczędzania sił na późniejszą fazę zmagania, co warte jest spełniania roli czyjejs straży przedniej czy nawet dywersji i jakie wyniki daje wywoływanie powstań w momencie kiedy wedle ryzykownych obliczeń i przewidywań wojska jednego zaborcy mają się rzekomo wycofać, a wojska drugiego — również nam przyjaznego co pierwszy — rzekomo aż palą się do wkroczenia i przysłużenia się zapalczywym Polakom. Narod polski w 1914 r. nie usuchał wezwania konspiracji Piłsudskiego, gdyż miał w sobie więcej zdrowego instynktu i rozeznania politycznego niż całe ówczesne kierownictwo polityczne Pierwszej Brygady. Konspiracja jednak nigdy nie chcia-

w Polsce znaleźli się politycy konspiracyjni, którzy narzucili narodowi formę monarchii absolutnej, czyli instytucji przestarzałej i wstecznej, duchowi narodu polskiego i w przeszłości i w teraźniejszości całkowicie obcej.

Wielka odpowiedzialność spoczywa na emigracji na wszystkich Polakach za to, jak interpretować będziemy nasze instytucje państwowe: czy w duchu konspiracji przeciw własnemu narodowi, w duchu samowoli i nieodpowiedzialności konspiratorów, czy też w duchu odpowiedzialności za dobro publiczne, w duchu prawdziwej, nowoczesnej demokracji. „Zakonspirowana część obozu niepodległościowego“ powinna usłyszeć od świadomego politycznie społeczeństwa, że podtrzymywanie koncepcji rzą-

dzenia Polakami poprzez klikę i „sitwę“ jest pośrednio działaniem na rzecz wrogów niepodległości polskiej. Powinny ustać próby tworzenia fałszywych stroniców politycznych przy pomocy bezrobotnych politycznie członków konspiracji i b. oficerów wywiadu. Powinny skończyć się niedorzeczne pomysły oparcia polskiego systemu politycznego na wojsku, ani teraz kiedy wojska tego nie ma, ani w przyszłości, kiedy ono znowu służyć zacznie narodowi. Każdy żołnierz, który chce brać czynny udział w polityce, ma do tego drogę otwartą, nie w charakterze jednak przedstawiciela sił zbrojnych, bo Państwo Polkie nie jest Siczą Zaporoską, lecz indywidualnie, jak każdy inny obywatel, na swoją własną osobistą odpowiedzialność.

I rzecz główna, na najbliższą przyszłość, w związku z powołaniem przez Prezydenta rządu wyłonionego „przez zakonspirowaną część obozu niepodległościowego“ na zasadzie totalitarnych postanowień konstytucji kwietniowej. Przedstawicielstwo polityczne narodu polskiego na emigracji, to jest legalny rząd polski, nie może mieć charakteru dworu przy wygnańcym monarsze absolutnym, snującym marzenia o powrocie do form, które należą do niepowrotnej przeszłości. Rząd nasz musi być reprezentantem politycznym mas narodu, wszystkich jego zasadniczych dążeń i programów politycznych, przy nieodstąpieniu zresztą od źdźbła innej podstawowej zasady życia państwowego. Im prędzej do tego dojdzie, tym lepiej.

Z. ABDANK

ZŁOTY SFINKS 1)

DUCHOWY PODBÓJ CHIN

W AZJI istnieją cywilizacje a nie istnieją narody. Wiele się na to złożyło przyczyn. Kosmiczne po prostu konwulsje, wyrzucając w ciągu tysięcy lat coraz to nowe fale ludzkie z centrum Azji przede wszystkim ku południowi, ale też ku zachodowi i wschodowi, przesuwały i upłynniały granice zasięgów ras i ludów. Fale te, spotykając po drodze coraz to nowe i inne przeszkody w postaci ras poprzednio osiadłych, słabły w miarę oddalania się od punktu wyjścia i wtapiały w podbitą ludność. Stąd niebawem jej pomieszczenie zwłaszcza w Indiach i Indonezji, ale też i w Chinach południowych i wschodnich oraz w Azji centralnej.

Przybysze nie zawsze i nieprędko przyjmowali mowę i religię tubylców, przyswajali sobie natomiast z czasem ich obrzędy i obyczaje, a przede wszystkim światopogląd. Niezliczona ilość sekt konfucjańskich, szintoistycznych, bramanicznych i taoistycznych, świadczą o istnieniu obrządków a nie kościołów, i filozofii a nie religii. Jest to najbardziej charakterystyczny i najbardziej istotny rys Azji. Choć nie ma mowy o indyferentyzmie religijnym tam gdzie mnisi wszelkiego rodzaju liczą się na setki tysięcy, jeśli nie na miliony, to jednak trudno jest mówić o wierze w Boga tam, gdzie droga do Niego zasłania, unicestwia właściwie samo Jego istnienie. System moralno-etyczny Kong-Fu-tse czy Lao-tse nie jest na pewno mniej doskonały niż nasz, a poziom etyczny Indusów czy Chińczyków jest imponujący, ale brakuje im wizji Stwórcy, będącego dla nas drogą, prawdą i miłością. Azjaci medytują, ale nie wierzą, praktykują, ale nie modlą się, kórzą się, ale nie wielbią. Podczas gdy do istnienia i rozwoju chrześcijaństwa wystarczyłoby nawet kilkanaście stron Ewangelii, to księgi wiary Azji idą w setki tomów. Egzegeza święci tam niebawem triumfy.

Tym spekulatywnym cywilizacjom obca jest idea rozdziału władzy świeckiej od duchownej. Używam tu zresztą pojęć całkowicie dla Azji niewłaściwych, bo istnienie władzy duchownej związane jest z Kościołem, ale zwrócić na to zjawisko musimy uwagę, bo problem

ten odegrał wielką rolę w naszej cywilizacji. Nie do pomyslenia jest dziś dla nas, by rząd jakiś mógł się identyfikować z namiestnictwem Chrystusowym, tak jak nie moglibyśmy pogodzić misji tej z polityczno-społecznymi zadaniami władzy państwowej. Tymczasem, w o ileż od naszego starszym świecie azjatyckim, funkcje szefa państwa z reguły związane są z naczelnym kapłaństwem. Czy chodzi tu o państwa teokratyczne jak Tybet (Dalaj-Lama) czy do niedawna Mongolia (Hutuktu), czy pozornie nowoczesne państwo jak Japonia do roku 1945 czy Chiny do roku 1911 najwyższe funkcje kapłańskie zastrzeżono panującemu. Władza świecka zastępowała się tam z reguły autorytetem religijnym, płynącym z mitu boskiego pochodzenia władcy. Syn Nieba, Syn Bogini Słońca, wcielenie Buddy był naturalnym szefem swych poddanych. Nie bez znaczenia jest też fakt, że religia północnych zdobywców Azji, prawosławie, identyfikowała również carstwo rosyjskie z namiestnictwem religijnym.

RELIGIA W CHINACH

Wystarczy wyjść z zasięgu wyznaniowego Islamu, to jest przekroczyć Indus czy górny Irtysz, by znaleźć się w świecie sypkich i zawodnych przekonań, filozofii i poglądów. Traci się od razu ten grunt pod nogami, który daje wiara w tak samo pojmowanego Boga, te same Jego przykazania, te same cnoty i grzechy. Brak tej spójni wpłynął hamująco na kształtowanie się innych, które w sumie wytworzyły wielość zasad i obyczajów stałych a wspólnych, odróżniających jedną cywilizację od drugiej a spajających jej członków. Świat bramiański i buddyjski nie zna tych spójni.

Kult religijny w Chinach do czasów republiki (1911) miał charakter pogański. Jedynie cesarz uprawniony był do składania ofiar ku czci „Istot Naczelnych“, jakimi były: przodkowie cesarza, zmiany pór roku, zniwa itd. Inni ludzie mogli je dokonywać tylko z jego polecenia i nie w imieniu całego państwa, ale w lokalnym ograniczonym zakresie. Do tych kultów zobowiązany był obywatelowo każdy, przy czym niezależnie od tego wyznawać mógł którykol-

wiek z systemów religijnych, chrześcijaństwa nie wyłączając.

Ta eklektyczność chińska w dziedzinie myśli oderwanej nie pozostała bez wpływu na myślenie i działanie w ogóle. Bezmiar kraju, niesłychanie nierówne jego zaludnienie, brak dróg i ograniczenie komunikacji do arterii wodnych przyczyniły się niewątpliwie również do faktu, że nawet Chiny właściwe, tj. 18 Prowincji nie uformowały się w jakąś ustaloną całość. Chiny nie wyszły jeszcze w ogóle poza okres cywilizacji potamicznej. Odrębnym i własnym życiem żyją od wicków doliny Hoang-ho, Jang-tse-kiang i Si-kiang. Mieszkaniec Kantonu nie jest w stanie porozumieć się z obywatelem Pekinu ustnie, choć obaj używają tego samego pisma. Nawet w okresach zjednoczenia Chin, wielkie jak państwa europejskie Prowincje żyły własnym życiem i tylko osoba gubernatora łączyła je z tronem. Jedność Chin w czasach formalnego istnienia, nawet w czasach najnowszych, podobna była do jedności imperium Karola Wielkiego: kupki kamyków w zaciśniętej pięści. Gdy pięści nie stawało, kamyki rozsypywały się.

Cztery tysiące lat historii pierwotnych Chin północnych a ponad dwa i Chin południowych, później zohinizowanych, doprowadziły do niebawalej ekspansji etnograficznej chinszczyzny, dowiodły wyższości jej cywilizacji nad otoczeniem i nieprzeciętnej łatwości absorbowania sąsiadów, dowiodły niebawalej tężyzny kolonizatorskiej, ale nie scementowały terytorium, Nadal istnieje tam wielość języków, wierzeń i tradycji. Na wytlumaczenie tego faktu cytuje się stale ogrom terytorium Chin i jego niedostępność. Jest faktem, że na obszarze blisko 9 milionów km kw było w 1946 roku zaledwie 4.600 km kolei, podczas gdy np. Francja z 550 tysiącami km kw. miała ich blisko 50.000 km. Nie docenia się jednak wewnętrznej przyczyny dyslokacji chińskiej, właściwego im sceptycyzmu, by nie powiedzieć lekceważenia, wszelkiego wysiłku, działania i walk. Ten sceptycyzm zaś wynika z wierzeń, ta bierność pozoruje się w enotę. Oba te zjawiska są najbardziej charakterystyczną cechą chińską i różnią ją najistotniej od naszej cywilizacji.

NOWA RELIGIA

Przegląd wierzeń azjatyckich nie byłby kompletny, gdyby nie wymienić prawosławia, religii zdobywców północnej Azji. Szło ono za Kozakami rosyjskimi już od końca XVI wieku od Uralu do Morza Ochockiego.

Jest rzeczą charakterystyczną, że podczas gdy podbój bliskich obszarów mahometańskich Azji dokonał się dopiero w wieku XIX (jedynie północny Kaukaz zdobyty został już za katarzyny II), to obszary syberyjskie idące w kilkanaście milionów km kw. opanowane zostały już w wiekach XVI i XVII. Od pierwszej wyprawy Jarmaka w r. 1581 do ukazania się Kozaków u ujść Amuru w r. 1636, upłynęło niespełna 60 lat. Rzadkie i prymitywne ludy, zagubione w tajgach i tundrach a oddane szamańskim praktykom, nie stanowiły żadnej przeszkody nawet dla tych nielicznych i niewykwipowanych najeźdźców, jakimi były watahy kozackie. Przeszkodę stanowiły tylko przestrzeń i klimat. W tych okolicznościach i niepiśmienny Kozak odczuwał swą wyższość cywilizacyjną, zaś pap rosyjski na tle derwisza szamańskiego rysował się w cieniu krzyża jak kapłan i przewodnik. Prawosławie, z jego modlitwami za cara, z jego świętym Synodem pod przewodnictwem prokuratora, ani raził ani fascynował Azjatów nie mogło. Był to jeszcze jeden kult podpierający władzę boskiego pochodzenia, jeszcze jedna religia związana z państwem i jego organami. Łatwość z jaką cerkiew prawosławna nie tylko pogodziła się, ale i podporządkowała się komunistycznemu ateizmowi, świadczy o azjatyckim zaiste oportunistycznym wyznaniu, które wyrosło i przekwitło w atmosferze dworu panującego. Ta „błagonadziejność“ patriarchatu moskiewskiego dowodzi głębokiego wpływu Azji na prawosławie i tłumaczy dlaczego cerkiew ta nie tylko nie odegrała żadnej roli misyjnej w Azji, ale nie umiała stworzyć w samej Rosji tej bariery moralnej, jaką obserwujemy we wszystkich krajach zachodniego chrześcijaństwa.

Popi nie przejawiali bynajmniej w Azji apostołskich zapałów a ograniczając swą działalność do grona ruskich przybyszów, w których furgonach sami przybyli, akcentowali jeszcze swą polityczną i moralną przynależność do zdobywców i ich dynastii. Prawosławie było i pozostało w Azji wiarą urzędników, wojska i kolonizatorów. Przynależność do niego dowodziła związku z warstwą rządzącą i narodem rządzącym, była więc gwarancją socjalnej wyższości. Nacisk brutalny lub prostacki, wierany na wyznawców innych religii spotykał się z oporem tam, gdzie natrafił na światopogląd wyrobiony i pogrębiony, jak u mahometan, a z obojętnością lub uległością tam, gdzie z braku prawdziwej wiary, traktowano prawosławie po prostu jako kult państwowy.

Na obszarach azjatyckich tradycje i legendy idą w lat tysiące. Mówią one o zmianach i przewrotach, które nam wydają się rewolucyjne jak o rzeczach starych i znanych. Czyż upaństwowienie ziemi i środków produkcji oraz utworzenie milionowych łagrów przez bolszewików w XX wieku mogą wywołać przewrót w myśleniu i działaniu noma-

dów, których sąsiedzi przeżyli już kilka razy podobne rewolucje? W dziewiętnastym roku po Chrystusie cesarz Wang-Mang (dynastia Han) zarządził przyznanie każdej rodzinie liczącej ponad 8 członków, pięciu hektarów ziemi, aby zaś uniemożliwić rekonstrukcję latyfundiów, uznał w zasadzie całą ziemię za własność państwa. Zakazał on wszelkich zmian tytułów własności i zabronił prywatnego handlu niewolnikami, zastrzegając go monopolicznie państwu. I wtedy więc ziemia i eksploatacja człowieka zastrzeżone były państwu!

W IX wieku po Chrystusie Wang-Anche zsocjalizował w nowoczesnym pojęciu Chin. W jego państwie istniały zasady dla chorych i bezrobotnych, emerytury na starość, minimalne zarobki dzienne, państwowa interwencja w ceny towarów itp.

W XIII wieku po Chrystusie wnuk Dżingischana a cesarz Chin, Ubilaj ustalał ceny maksymalne, magazynował drogą skupu zboże i interweniował nim na rynku, przeprowadzał dekrety socjalne zapewniające utrzymywanie przez państwo piśmiennych, kalek, chorych i sierot i wprowadził przytułki i kasy zasiłkowe.

Jeśli te i podobne reformy, dokonywane w ciągu wieków, nie pchnęły Azji na nowe tory, to nie z braku inicjatyw, ale z powodu ich ogólnego charakteru.

Dzisiaj na obszarze dawnego prawosławia, panuje nowa religia. Panuje, rządzi, nagradza docześnie i karze. Rolę popów przyjęli sekretarze lokalni partii, rolę Pisma Świętego, dzieła Marksa i Lenina, rolę cara i prokuratora Stalin. Świętymi są, w miejsce cerkwi, sale zebrane. Nacisk stał się tylko większy a przynależność do partii jeszcze więcej daje przywilejów socjalnych niż dawniej do prawosławia. Więcej też widzi się

Zbierajcie materiały do historii Ziem Wschodnich

Związek Ziem Południowo-Wschodnich przystępuje do opracowania historii stosunków narodowościowych w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu w latach 1939-1945. Pragnąc uzupełnić posiadane już materiały Związek Ziem Południowo-Wschodnich zwraca się do wszystkich, którzy posiadają informacje o rozwoju stosunków narodowościowych na Ziemiach Południowo-Wschodnich w czasie ostatniej wojny o nadsyłanie ich na adres Związku: 74 Cornwall Gardens, London, S.W.7.

Ze względu na dokumentacyjny charakter zamierzonej pracy Związek Ziem Południowo-Wschodnich prosi o nadsyłanie przede wszystkim takich materiałów, które zawierają wiele danych faktycznych opartych na własnych przeżyciach i obserwacjach, lub też relacjach wiarygodnych świadków opisywanych wydarzeń.

Redakcje pism, które doceniają potrzebę zbierania materiałów do historii Ziem Południowo-Wschodnich RP. z czasów ostatniej wojny są proszone o przedrukowanie, możliwie kilkakrotnie powyższego wezwania.

Zarząd Główny Związku Ziem Południowo-Wschodnich R. P.

i słyszy „wiernych“ a mniej i ciszej mówią „poganie“. Ale jeszcze mocniej odczuć się im daje ich niższość i jeszcze bardziej „ortodoksi“ identyfikowani są z władzą. Jeszcze pewniej też w przybylszu z Moskwy czuje się „wiernego“. Tylko przybyszów jest coraz więcej, tundra zarośla się niewolnikami, żyć po swojemu jest coraz trudniej, a wierzyć trzeba coraz mocniej.

Azjata, widząc wszędobocność państwa, nie dziwi się wcale naturczywości jego religii. Tak, jak niewiele miał do czynienia z przedstawicielami dawnej religii, tak niewiele styka się z dygnitarzami nowej. Wie natomiast dużo więcej i dużo bezpośrednio o jej celach i skutkach. I jedne i drugie są mu nieporównanie bliższe i zrozumialsze, toteż na tle indyferentyzmu religijnego mas wschodnio-azjatyckich, ta nowa doktryna uchwytna w najprostszej formie i najprymitywniejszych warunkach bytu, z łatwością zastąpić może skomplikowane a niezliczone systemy filozoficzne, wymagające jednak i wykształcenia i przygotowania moralnego. Były istniały zewnętrzne przejawy kultu, byle dać upust naturalnej potrzebie autorytetu, masy na polu i całkowicie pogańskie, nie odróżniał Cezara od Boga.

Tej potrzebie czyni całkowicie zadość kult „ojczulka narodów“, „słoneczka proletariatu“ Stalina. Po 30 latach wysiłków istnieje już na Wschodzie legenda, której fundamentem jest siła brutalna, wszędzie obecna i wszystko obejmująca. Mocniejsza od wszystkich szamanów i każdego tabu. Siła w Azji zawsze uchodziła za przejaw boskiego pochodzenia i tradycyjnie była okrutna. Gwałt na człowieku i na ludzkości, na jednostce i na milionach, nie podlega żadnej ocenie moralnej. Jeśli się uda, doprowadzi je no, że siły stojące po stronie ciemności są wyższe od sił broniących ofiary. Sił wyższych należy słuchać i należy im ulegać. Toteż nie na obszarach azjatyckiego wschodu, od wieków poddanego spekulacji (nie mówiąc już o pogańskiej Syberii) spodziewać się należy istnienia tej zapory jaką spekulatywnemu materializmowi przeciwstawiły etyka i wiara chrześcijańskie.

U ludzi religijnych, zarówno chrześcijańskich jak i mahometan, doktryna komunistyczna przyjmując się lub nie przyjmuje na ustalonym uprzednio gruncie etycznym. Jest i pozostanie jego nadbudową. Na wschodzie zastąpić i splukać po prostu może nikły bagaż obyczajów i przesądów i wypełnić pustkę nową treścią. W tym sensie mówić można o komunizmie jak o nowej religii w Azji. Jest ona niemniej od innych ekskluzywna a bardziej zdobywcza. Fanatyzm jej misjonarzy i środki jakimi dysponują, oddolność i bezwzględność metody, nakazują liczyć się z nią w Azji jako jednym z najsilniejszych aktualnych motorów jej ewolucji.

Podbój Azji przez komunizm ułatwia spekulatywny charakter wierzeń wschodnich rozbawiający je tego, kośćca etycznego jakim jest wiara prosta, żywa i czynna. Systemy wschodnie odwracają uwagę wyznawców od środków, kierując je ku poza światowym celom, wymagają dociekań, medytacji, komplikują rzeczy proste, mumizują sprawy żywe i apoteozują bierność.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

SPOTKANIE ZE STANISŁAWEM WYRZYKOWSKIM



STANISŁAW WYRZYKOWSKI

BĘDĄC obecnie zupełnie pozbawiony książek Stanisława Wyrzykowskiego, sięgam do wspomnień o nim — raczej może do wspomnienia.

Znałem go mało bardzo, przelotnie, prawie jednorazowo. Spotkałem go był za krótkiego mego pobytu w Zakopanem, na lat szereg przed ostatnią wojną. Ale zdarzyło się tak, że spędziłem dni parę sam na sam z nim, w pustym podówezas — był to marcowy martwy sezon — Domu Kasy Mianowskiego, na Kasprusiu. To jednorazowe spotkanie zostało mi wyraźniejsze wspomnienie niż wiele innych powtarzających się codziennie, migawkowych zetknięć życiowych. Tych dni parę upłynęło na rozmowach o rzeczach raczej istotnych niż białych.

Stało się to możliwe dzięki faktowi wspólnej naszej przynależności do jednego kręgu ideowego. Wyczuliśmy tu od razu, raczej niż dowiedzieliśmy się o tym z pytań i odpowiedzi. Po prostu — pewne instynktowe odruchy myślowe, wspólne nam obu, pozwoliły na przeskokowanie szeregu zahamowań między ludźmi nieznanymi się wcale. Wskazyaliśmy od razu in medias res co humanistyczne, narodowe i chrześcijańskie.

Rozmowa sięgnęła szybko do rzeczy literackich, nam obu drogich. Byłem wtedy jeszcze wcale młody. Rozumiąłem dobrze wielką różnicę lat między nami i wdzięczny byłem mojemu rozmówcy za szczerą ze mną rozmowę.

Stanisław Wyrzykowski pod koniec zeszłego wieku odegrał był wybitną rolę w Młodej Polsce jako redaktor krakowskiego „Życia“, tego zagadkowego organu poprzedzającego „Chimerę“ Miriamy i o wiele późniejszy „Lamus“ Pawlikowskich. „Życie“ było skromniejsze, ale niezmiernie plenne i przebojowe. Przy tym — i to najważniejsze — jego środkiem przepływał jakby dział wód pojęciowych Młodej Polski; na jego szpaltach spotykali się, przecieży Sta-

nisław Przybyszewski i Stanisław Wyspiański.

Trzeci Stanisław tej trójki, Wyrzykowski był znacznie bliższy Wyspiańskiemu niż całej przybyszewszczyźnie — i to jedno wyznacza już i określa jego sylwetkę duchową.

Oczywiście, po tych latach trzydziestu interesowała mnie najwięcej ta atmosfera Młodej Polski, którą znalazłem już tylko z legendy. Pamiętałem niewyraźnie, dziecięcymi oczami zauważoną kawiarnię Turlińskiego vis à vis krakowskiego teatru, w zburzonym potem domu, poprzedniczkę Jamy Michałkowej. Sam należałem do tego rocznika granicznego, który zachłystywał się Wyspiańskim a Przybyszewskiego już nie czytał.

... Pytałem więc Wyrzykowskiego o „Życie“. Odpowiedzi w rozmowie płynęły szeroką strugą. Okazało się, że mój rozmówca pracował nad swymi pamiętnikami, że te lata miał już opracowane. Redakcję „Życia“ znał na wylot od wnętrza. Był jego redaktorem w latach 1898-99, przed redakcją Przybyszewskiego, który z jego rąk przejął pismo, na niedługo przed jego upadkiem. Wyrzykowski, Krakowianin od lat szeregu i współpracownik „Czasu“, znał kulisy i kuluary „Życia“, to co poprzedzało jego własną pracę redakcyjną, i to co po niej nastąpiło.

Otóż jego reakcje wobec Przybyszewskiego i przybyszewszczyzny były niedwuznaczne, i zupełnie negatywne. Piętnował to skrzydło Młodej Polski jako społecznie i indywidualnie niezdrowe, mętne, prawie złowrogie. Były tam przejawy i objawy dekadentyzmu zupełnie dla atmosfery zbiorowej destruktywne. Nie miejsce tu na szczegółową charakterystykę tych tęcz kładących się na bagnie. Wystarczy jeden przykład: dziwna fala samobójstw, które objęły te lata. Fala, czy moda, czy styl, które sięgały od „amerykańskich pojedynków“ po mniej pretensjonalne „czyste“ samobójstwa. Wyrzykowski szedł tak daleko, że mówił mi, iż ma w ręku dowody prawdziwego satanizmu, jakiemu hołdował Przybyszewski. Niezdrowe były niemieckie lata Przybyszewskiego, i chorobliwe ich ziarno, które z sobą do Polski wniósł.

Zaś od tego wszystkiego odstawał powoli Jan Kasprówiec, a nigdy do tego nie przystał — Stanisław Wyspiański. Były to jego lata pofrancuskie, lata „Legendy“, lata poprzedzające „Wesele“. Lata więc jeszcze głównie malarskie i graficzne, w których, między innymi, wypracowywał jedyne po dziś dzień oryginalne osiągnięcie na polu graficznej postaci książki polskiej, jakim były niezapomniane jego mierwodruki.

Wysoki poziom moralny Wyspiańskiego, jego ideowość narodowa i artystyczna — przejęta po mistrzu Janie Matejce*), uchroniły go od przybyszewszczyzny, o którą się otarł, ale której się nigdy nie dał. Stanisław Wyrzykowski znalazł się szybko na jego skrzydle. Przyjaźni z Wyspiańskim pozostał wierny aż do

ostatniej chwili życia poety, okrutnie gasnącego w Węgrzyczach, pod Krakowem.

* * *

Już wtedy, za młodu, zanim doszedł był Wyrzykowski do połowy swoich dni, a nawet do mezzos del cammin di nostra vita, — drukował swoje wiersze na łamach „Życia“. Było ich niewiele. I całe życie tak będzie. Sączył swoje utwory, mową wiązaną pisane, z rzadką ale umiejętnie i uważnie. Nie było w nim nic wielomówności nieważnej. Zbierze kiedyś w roku 1931 te wiersze w tom zbiorowy noszący tytuł dokładny: „Plon życia“. Życie w tym wypadku było mianem nie czasopisma, ale jego własnego, powoli do mety dochodzącego żywota.

Jest w wierszach Wyrzykowskiego ciągly, bezprzerwny pęd do doskonałości formy. Forma ta, wyrosła z Parnosu i Symbolistów, jest niezmiernie precyzyjna. Jest może raczej formą Parnasis-tów, w którą autor wlewa zawartość idącą od Symbolistów. Zawartością tą jest wartość symbolu. Każdy opis, każdy obraz nurza się w nastroju, jak tego chciała szkoła Młodej Polski. Ale z kolei nastroj ten ma cenę symbolu — dla tego co w sobie poeta zauważa i zbiera.

Niewiele mamy tych wierszy Wyrzykowskiego w Londynie. Poza „Dużę“, drukowaną w bieżącym numerze „Myśli“, znajduję dwa inne sonety w mojej antologii sonetu.***) Sonety te zamieścił Wyrzykowski w Miriamowiek „Chimerze“, następczyni „Życia“. Są one bardzo piękne i mnóstwo w nich jest symbolu. Śliczny sonet „Limba“ idzie Kasprówiczym śladem po tatrzańskich dołach i perciach. Dziwnie muzycznie, umiejętnie wplata rym męski w melodie ciszy tatrzańskiej:

*Na widnokręgu złota jaśń wykwiata
Szkariatnym pękem z lilijowych cisz.
Kędyś daleko, tumanem zakryta.
Szumi kaskada w głębi skalnych nisz.*

Limba wyrasta tam z mrozu, grozy i „nieżywej ziemi“. Mimo to i dlatego przecieży właśnie:

*A ona z nocy mgieł i zasępienia
Wyrasta dumnie w błękitne przelśnię-
nia,
W przeczysty, złoto-purpurowy świt.*

Czyż trzeba tu symbol wyjaśniać?

Jest inny symbol, co trochę w wierszach Wyrzykowskiego tryskający. Jest to symbol łodzi. Znajduję go w sonecie „List“:

*Ciernię i pytam, patrząc nieprzytomnie
Na ciemne morze idące w zaświaty,
Czy tódż nadpływa — i czy płynie po
mnie?*

Króluje on w wierszu pod tym właśnie tytułem „Trzech łodzi“:

*Trzy białe łodzie płyną
Umartwych wód głębiną
Gdzieś w nieprzejrzanej mgle.*

Z nich pierwsza pod namiotem
Z purpury — wiosem złotem
Z fal krzesze skró po skrze.

A druga z wolna, smutno,
Swych skrzydeł czerni pokutną
Po szklistem wleczcie tle.

A trzecią fala niosta
Bez zagła i bez wiosta
Na wir, co w mrokach wre.

W tej pierwszej miłość moja,
W tej drugiej zemsta moja,
W tej trzeciej serce me.

Można by się tu spierać o niejedno, choćby o wewnętrzną logikę trzech 1odzi — obrazów, które zdają się ze sobą wadzić i sprzeczać, tworząc jakiś nierealny, składany, trochę z mozaiki i alembiku, krajobraz. A może i to do symbolu należy? Może ta troistość obrazu uświadomi klóci jego jedność, jak znów jedność serca poety te trzy obrazy łączy?

Tercyna użyta w tym symbolicznym tryptyku kieruje nas myślą do Dantego. Nie w „Boskiej Komedii“ oczywiście, ale w „Canzoniere“ jest taki przepyszny sonet o 1odzi, który nie może nie nasunąć się pamięci przy czytaniu tego poemaciku Wyrzykowskiego:

*Guido, i'vorrei que tu e Lapo ed io
fossimo prest per incautameto
e messi in un vasel, ch'ad ogni vento
per mare andasse al voler vostro e mio...*

„Trzy 1odzie“ są znacznie bardziej obciążone Troską i Smętkiem findesięcle'u — ale sądzą, że coś z pierwszego pełnięcia *dolce stil nuovo* zostało. Jakym zgadywał ogniwo pośrednie: pre-rafaelci angielscy i symboliści francuscy spotykali się przecie na łamach „Zycia“, a wiadomo jak bardzo Dante Gabriel Rossetti dantyzował...

Rzadkie wiersze Wyrzykowskiego były oczywiście tylko częścią jego życiowego trudu. Życie to było jednak literackim ugorem. Z całą powagą myśli i wysiłkiem woli zaorywał go regularnie.

Wyrzykowski był również doskonałym i świadomym swego narzędzia prozaikiem. Prozę swą ćwiczył w długim szeregu przekładów. Przeswoił polszczyźnie szereg tomów Nietzschego, bajki Kiplinga, cztery tomy Edgara Allana Poe'go, wreszcie „Nostromo“, dla niektórych najlepszą powieść Conrada.

Tak udoskonaloną prozę zastosował Wyrzykowski do swej wielkiej trzytomowej powieści historycznej o czasach Dymitra Samozwańca. W książkowym wydaniu ukazał się jedynie tom pierwszy, w r. 1930 pt. „Moskiewskie gody“.

Powieść tę pojął Wyrzykowski bardzo poważnie, poprzedzwszy ją długimi studiami źródłowymi i historycznymi. Zajmą kiedys te trzy tomy bardzo wydatną pozycję w naszej literaturze. Opowieść ta łączy w sobie klarowną prozę, poważne spojrzenie historyka-artysty i wreszcie dostojną i żywą tematykę. Dotyczy przecież ten temat wiecznie ruchomej, nigdy od lat tysiąca niezastępy'ej naszej rubieży wschodniej.

Wyrzykowski zdobył się tu na spojrzenie głębokie, prześwietlające obie strony barykady. Zna surowiznę cywilizacyjną Moskwy, zna i przejawy polskiej anarchii, która umożliwiła typy wschodnio-kondo-

tierskie w rodzaju Dymitra i jego polskich popleczników-królewiat. Ponad to wszystko, te męty i te bryzgi, umie Wyrzykowski dźwignąć całą dostojność wiecznej Rzeczypospolitej uosobioną w świetlaną postać zwycięzcy spod Kłuszyna, Stanisława Żółkiewskiego. Kończy się ta trylogia jedną jeszcze Dumą o Hetmanie.

* * *

Patriotyzm Stanisława Wyrzykowskiego nie miał nic z zaścianowości ni separatyzmu dzielnicowego. Z rodziny wywodzącej się z Podlasia, osiadłej na Pokuciu, sam wcześniej znalazł się na zachodzie, w Krakowie, a potem w Zakopanem, gdzie dużą część życia przeżył. Po pierwszej wojnie przeniósł się na zachód Polski, do Poznania. Na starość wrócił na północ, na Mazowsze. Znał wszystkie te krajobrazy okiem artysty i czuciem poety. Miał swoje preferencje.

Pamiętam z tych zakopiańskich nasyżych gawęd taki szczegół: sam do Zakopanego od dziecka przywiązany, przekornie jednak — wśród regli i świerków — wspominałem ulubione mi Mazowsze, z jego sosnami na płachach i nęcącym w dal siwym widnokregiem. „Niech mi pan nawet nie wspomina o tej siwości, o tej mgiele mazowieckiej — wybuchnął Wyrzykowski —, nienawidzę tego wszystkiego. To tylko rozstraja i demoralizuje.“ Tak to z wyżyn tatrzańskich odcinał się wtedy od krainy szopenowskich mazurków...

...Przypomina mi się tu wspólna moja z Romanem Dmowskim wycieczka po tych mazowieckich równinach. Przyznałem mu się był do tego dziwnego czaru, jakim mnie przekał ten siwiejący, wciąż dalej usuwający się widnokrąg. „Mam i ja to samo — rzucił Dmowski. — Jest to charakterystyczna, wieczna

cecha wszystkich nomadów i koczowników: dalek ku sobie ciągnie i nie pozwała się nigdzie na długo ustalić. Osiedliśmy wreszcie i w naszą ziemię korzeniami zapadli. Ale dawny instykt koczowników odzywa się czasem w tej przynęcie siwego horyzontu“...

Jakże to wszystko nam jest dziś drogą, na tej wygnańczej obczyźnie, i te cudowne Tatry i ta szara, prosta równina mazowiecka. I jakże mało w nas jest nomadów!

* * *

Stanisław Wyrzykowski zajmie kiedyś należne sobie miejsce na Polskim Parnasie. Gdy opadną odmęty, Potopu, gdy błysnie nowa tęcza pokoju i uładzonej pracy twórczej, uwaga polskiego czytelnika zwróci się do tej pięknej postaci polskiego estety i krytyka, poety i powieściopisarza, obywatela i patrioty, którego całej schedy dziś jeszcze nie znamy.

I może najcenniejszą częścią tej puszczyzny będzie pamiętnik z okresu Młodej Polski i następnych lat niepodległości. Znajdziemy tam na pewno komentarze do twórczości Wyspiańskiego, — a też i do własnych, rzadkich i pięknych, zawsze uważnych i precyzyjnych poezyj.

Wielkanoc, 1949

*) Przybyszewski w swoich wspomnieniach („Moi współcześni“) zauważa nie bez przekąsu o Wyspiańskim: „Nie można się było nigdy od niego dowiedzieć, co o tym lub owym artyście myśli, tylko wtedy gdy była mowa o Matejce, zapalał się i nie znosił jeżeli ktokolwiek do Matejki krytycznie się odnosił“.

**) „Sonet polski“ — 1925. Kraków. Biblioteka Narodowa. Sonecistą był Wyrzykowski zawołany. Dowodzi tego i jego wydanie „Poezji“, sonetów przede wszystkim, Kazimierzy Zawistowskiej (1933).

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

DUSZA

Dusza jak jasny kwiat z bezmiarów świata chłonie
Słoneczność białych dni i modrych nocy wonie,
Majestat ciemnych mórz i lśniących gwiazd harmonię.

Z wszechświatów siła w niej, co na kształt srebrnej czary
Dziewiczą rzeźbi pierś, a męża w moc obleka;
Z nich wszelkie piękno jej, i miłość w niej bez miary,
Co toczy twórczą myśl, jak złoty kruszec rzeka.

Wieczności cały ból ogarnia w sobie ona,
I cały ogrom zła i wszystkich istnień nędze;
Jak wszechświat wielka jest, jak wieczność nieskończona
W bezsilnym smutku swym i w twórczej swej potędze.

Dusza jak gwiezdna skra wśród mroków tajni płonie,
Jak dźwięk w przezrocach drzy, jak tchnienie w burzy wionie,
A włada jako Bóg w chaosu mgławcem tonie.

(Wiersz drukowany w „Chimerze“, tom III, 228)

PRZEGLĄD WYDAWNICTWA

ŚWIEŻY POWIEW

Bronisław Przyłuski: OBRONA MGIEŁ, wybór poezji. Nakładem Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1949. Stron 62, cena 4/-.

Do poezji Bronisława Przyłuskiego, dobrze znanego czytelnikom z luźnie drukowanych utworów w prasie tygodniowej i antologiach, trudno jest przypisać etykietę ludowości, choć niewątpliwie jest to ich najbardziej charakterystyczny rys, dający poecie indywidualność. Trzeba by było powrócić do mocno niewdzięcznej i trochę już archaicznej dyskusji na temat „ludowości“ w sztuce. Dyskusji tych była niezliczona ilość od czasów Młodej Polski do ostatnich lat przed wojną. Karykaturą tych głosów jest obecnie komunistyczna dialektyka w literaturze uprawiana na tematy „demokratyczno-ludowe“. Wszystkie okresy wzmózonego wątku ludowego w twórczości polskiej, dały zarówno prozie jak i poezji prawdziwe, trwałe wartości, rozszerzyły ogromnie pojemność słowną, dały konkretne kształty obrazowaniu poetyckiemu, metaforze i symbolice, wreszcie zapewniły twórczości utrzymanie się w granicach ludzkiej rzeczywistości zarówno w materii jak w świecie idei. Zapobiegły wynaturzeniu się, zdziwaczeniu sztuki, jej odcięciu od społeczeństwa i uczynieniu z niej szyfru dla kilkunastu wykrygowanych snobów. Poezja bowiem, jak w ogóle wszystkie zjawiska języka jest jednym ze sposobów porozumiewania się ludzi z ludźmi. Jest ona mową obrazu, wewnętrznego widzenia, rozmową dusz ludzkich — czy jak kto chce określić ten rodzaj porozumienia — ale zawsze pozostaje w granicach zjawisk językowych, służących nie jednemu tylko człowiekowi, a mianowicie autorowi, poecie, temu który pisze, — lecz większej grupie ludzi.

Wszystkiemu temu znakomicie pomogły okresy wlewania się do literatury wątków ludowych zarówno formalnych, jak i tematycznych.

Z prawdziwą przyjemnością znajdujemy te elementy w twórczości poetyckiej Bronisława Przyłuskiego, czytając jego niedawno wydaną książkę: „Obrona mgieł“. Książka ta nie jest debiutem poetyckim. Karykaturalne warunki życia, jakie ludziom pióra, a zwłaszcza poetom daje obecna polska rzeczywistość emigracyjna, sprawiły, że Przyłuski jest jednym z niewielu szczęśliwców, którym w ogóle udało się w ostatnich latach cokolwiek wydać.

Ponieważ jednak jest to pierwszy na emigracji większy występ poetycki, należy przy tej okazji dać sylwetkę poetycką, zarysowaną na stronach zbioru poezji „W obronie mgieł“. Zadaniu temu Przyłuski pomaga sam charakterystycznym wierszem, zatytułowanym „Poezja“. Jest to inwokacja do sztuki tak, jak ją autor rozumie. Ponieważ zaś we wszystkim, co rozumie, zwraca się do ziemi, jak do powiernicy najmądrzejszej — przeto i w tej inwokacji wzywa jej pomocy:

*Brń przed lśniącymi rymami,
północna mowo gburka,
zmituj się, zmituj nad nami,
Poezjo — muzo mazurska!*

Muza i ziemia mazurska nie pozostały głuche na to wołanie. Przyszły z pomocą poecie, który najłatwiej, z prawdziwym wdziękiem porusza się w najbliższych sobie granicach. Na tej właśnie ziemi ustawia swoje przeżycia wewnętrzne, które — jak zresztą wszystko co polskie — mają tonację tragedii.

*Jakbym po miękkiej koniczynie
do no-ujących w polu koni
z głuchego boru duchem gonit
drapież, y los, co nie omiute.*

Realizm, który jest jednym z nieodłącznych motywów ludowych w sztuce, nadużywany często, doprowadzany do stadium trywialności — u Przyłuskiego nie wylewa się poza celowe, zamierzone granice poetyckiej konstrukcji i trzymany jest w ryzach, świadczących o kulturze artystycznej. Za pewien zgrzyt i potknięcie się artystyczne uważam jedynie „Wiersz o sióstrze“, który poza tym ma i inne niezbyt szczęśliwe wpływy przedwojennej mody poetyckiej. Poza tym przykładem pełno w książce wierszy, oddających znakomicie koloryt ziemi i wsi polskiej, jak choćby w „Ryżym pastuchu“.

*Krowy legły umęczone gorącym
i czernieją na słomianej pościeli,
z niebu wyszło ze trzy czwarte miesiąca --
ryży pastuch pomyślał o Anieli.*

NOWA PRACA KUCHARZEWSKIEGO

Ponad głowami „rządu“ Rady Regencyjnej Niemcy Wilhelma II zawarły w Brześciu pokój z bolszewikami, którzy przybywszy niedawno z pomocą niemiecką do Rosji, zdobili wkrótce opanować ten kraj, by pogrążyć go w odmęcie krwi i nienawiści. Ówczesny premier, Jan Kucharzewski, wstrząśnięty tym do głębi, postanowił zbadać przyczyny łatwego sukcesu bolszewizmu w Rosji i w ciągu dwudziestu lat powojennych wydał kolejno siedem tomów wspaniałego dzieła pt. „Od białego caratu do czerwonego“. Praca ta, napisana z wielką erudycją, a stylem tak narracyjnym, iż czyta się ją niemal jak powieść, wyczerpująco wyświetla genezę współczesnego bolszewizmu rosyjskiego, którego przodkowie wywodzą się z początków państwa moskiewskiego.

Zniszczenie nagromadzonych materiałów i biblioteki w Warszawie nie powstrzymało sędziwego autora od napisania nowego dzieła pt. „Pochodzenie współczesnej Rosji“ (The Origins of Modern Russia by Jan Kucharzewski — The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Nowy Jork, 1948, str. XIX, 503, cena 5 dol.), które ukazało się w 1948 r. staraniem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Choć książka jest jak gdyby streszczeniem dzieła poprzedniego, krytyka uważa pracę za dzieło odrębne, gdyż wypuklenie myśli przewodniej autora w jednym zaledwie tomie, przeznaczonym głównie

*Bo Anisła, to jego ukochanie,
jego oczy i warkocze podpięte:
trzeba będzie — myśli pastuci — ubranie
i buty i kapelusze — oświeżone.*

Motyw ziemi, motyw żyzny, z którego wyrosło już tyle piękna towarzyszy Przyłuskiemu w jego życiu wewnętrznym. I on również zostawia swój ślad na każdym wierszu, najbardziej nawet opiewnym:

*Stanął Jan w polu pszenicznym,
wołający na pewno nie mnie.
Biały Jan, Chrzciciel ewangeliczny
nad kłosami woła uaremnie.*

Poeta zostaje wierny swojemu zasadniczemu motywowi w obrazach, przedstawiających nawet cudzy kraj, dalekie od Polki strony. Wiersz o Rawennie — pełnej motywów poetyckich, Rawennie opowiadającej historię pełnymi kolorów mozaikami i czystymi łukami pustych bazylik — kończy Przyłuski swoim:

*A mnie sosnowy
las i brzozy —
Przedpotopowy
Zamyśl Boży.*

Książkę Przyłuskiego, starannie wydaną (ozdobioną niezbyt udanym rysunkiem na okładce), bierze się w ręce, jak coś bardzo czystego. Od tych wierszy wieje świeży powiew — rzec nieczęsta w obecnym życiu, literaturze i nawet w poezji.

W. TROSCIANKO

dla czytelnika anglosaskiego, wymagało nowego wysiłku i pracy.

W kraju, gdzie najgłośniejszy publicysta (Lippmann) swą wiedzę o Rosji opiera na jednym artykule prasowym, jak sam wyznał, gruntowna, świetnie udokumentowana i wnikliwie ujeta analiza przyczynić się powinna do rozjaśnienia rzekomej zagadki rosyjskiej.

Jan Kucharzewski, znawca politycznej literatury rosyjskiej, daje szerokie tło historyczne opisanym przez siebie postaciom i wypadkom, uwzględniając w wielkiej mierze sprawy polskie. Całkowicie przekonywająco autor rozwiewa legendę, pieczołowicie pielęgnowaną w niektórych kołach polskich, jakoby rewolucjoniści rosyjscy mieli inny stosunek do polskich dążeń niepodległościowych, niż Rosja oficjalna. Ich nienawiść do łacińskiej i katolickiej Polski, szlacheckich cech kultury polskiej z jednej strony, a idealizowanie i przypisywanie ludowi rosyjskiemu mitycznych cnót, nie różniło prekursorów komunizmu rosyjskiego od najgorliwszych wielbicieli carsława i sławofilów.

Ciekawy jest stosunek rewolucjonisty rosyjskiego do wolności i kultury europejskiej. Np. Herzen, początkowo oszłomiony swobodą w Europie, zapalał wkrótce silniejszą nienawiścią do „zgniłego zachodu“, niż do caratu. Być może, że zetknięcie się wojsk sowieckich w okupowanej Europie z jej kulturą, zamiast stać się zaczątkiem oczekiwa-

nego fermentu, przyczyni się tylko do rozbudzenia jeszcze większej nienawiści.

Nihilistyczna żądza niszczenia wszystkiego, pogarda dla prawa i instytucji, zupełna amoralność, obłuda i bezceremonialne traktowanie prawdy, cechy uwypuklone przez autora w charakterystyce Bakunina, dominowały u twórców państwa sowieckiego.

W dwunastu obszernych rozdziałach, zatytułowanych: Świece Iwana Kality, Chłopi, Niepokojna inteligencja, Ku drugiemu brzegowi, Nihilista, Bakunin, Nieszczęsna sprawa, O trzeźwienia, Rozstaje, Tatarski Grakchus, Zwiastuny i demokracja, autor omówił mongolskie wpływy na Rosję, jej stosunek do Rzymu i Bizancjum, metody podboju, kwestię agrarną, brak poczucia prawa i własności, ferment społeczny na wsi i wśród inteligencji, jej oderwanie od ludu, rosyjskie pojęcie wolności i wizję niszczenia, nieszczerzy stosunek do Polaki, krwawe rządy Murawiewa itd.

Podkreślenie krzyżujących się powierzchniowych wpływów liberalno-europejskich z głębszymi mongolsko-rodzinnymi, całe rozdarcie wewnętrzne i niepokój duszy rosyjskiej, przypomina

opinię Romana Dmowskiego, który również uważał bolszewizm za twór swojski, choć dostrzegał w nim nadto wpływ mentalności żydowskiej i amerykański kult maszyny i produkcji.

Jest rzeczą do dyskusji, czemu komuniści w krajach kręgu kultury zachodnio-chrześcijańskiej, którzy nie powinni mieć tych obciążeń i predyspozycji historycznych, o których pisze Jan Kucharzewski, wykazują te same cechy amoralności i zakłamania, co komuniści rosyjscy.

Przestudiowanie dzieła Jana Kucharzewskiego daje czytelnikowi bogaty materiał do przemyślenia; czasami może wywołać powierzchowny sąd, jakoby komunizm wniósł niewiele nowego do typu życia Rosji, pogląd w praktyce równie szkodliwy, jak nadmierne uproszczone uosamianie odwiecznych cech niemieckich z hitleryzmem.

Zapoznanie się czytelnika amerykańskiego z „The Origins of Modern Russia” odświeży również pamięć o Polsce, co zapewne było głównym zamierzeniem sędziwego autora.

J. PI.

GDYBY NAPISAŁ JĄ NIEMIEC...

Ludwik Lewy: VON VERSAILLES ZUM VIERZONEN - DEUTSCHLAND. Heinrich Rehnardt Verlag, Frankfurt nad Menem, 1947. Stron 100.

Książkę tę należałoby przyjąć z zadowoleniem jako uderzenie się w piersi, jako wyznanie win bez zastrzeżeń, gdyby wyszła spod pióra jakiegos wybitnego przewodcy niemieckiego, który by był wyrazicielem pokajnego odłamu narodu niemieckiego. Nazwi ko autora nie nam jednak nie mówić ponad to, że jest z pochodzenia Żydem, a więc jednostką w przepojonych od lat kilkunastu antysemityzmem Niemczech dosyć izolowaną politycznie i w ogóle duchowo. Toteż niesposób traktować książkę tej jako symptomatycznej dla nastrojów panujących w Niemczech powojennych. Mimo to fakt pojawienia się jej należy przyjąć z zadowoleniem, które zapewne nie jest podzielane w samych Niemczech.

Jest ona bowiem jednym wielkim aktem oskarżenia sił, które rządziły Rzeszą wejmarską. Wynika z niej, że Hitler nie zjawiał się na scenie niemieckiej jak „Deus ex machina”, który niewinnym rozmiętym w wolności i demokracji Niemcom narzucił tyrański ustrój totalitarny.

Autor rozpoczyna swój wywód od odparcia twierdzenia, jakoby to traktat wersalski, wskutek swej rzekomej surowości był odpowiedzialny za to, że w Niemczech demokracja zawiodła i że to on wepchnął Niemcy na drogę rozpacz i w ramiona Hitlera. Jako humbug określa autor tezę o wprowadzeniu w błąd narodu niemieckiego, który uwierzył w 14 punktów Wilsona, z którymi niezgodny był jakoby traktat wersalski. Przecież niepokonane wojsko niemieckie mogło jeszcze walczyć. Niemcy zostały zwyciężone podstępem — oto legenda, która trwała aż po ostatnie lata. Autor wykazuje jednak, że inicjatywa do zawarcia pokoju wyszła od

najwyższego dowództwa niemieckiego, od Hindenburga i Ludendorffa.

Jeśli zaś chodzi o surowość traktatu wersalskiego, Lewy analizuje najważniejsze jego postanowienia i dochodzi do zgoda innych wniosków. Niemcy stracili wprawdzie 13 procent terytorium. Jednak, jak pisze: „Nikommu nie przyszło na myśl że przy tych cesjach terytorialnych chodziło w przeważającej mierze o zwrot ziem, które niegdyś Niemcy względnie Prusy zrabowały były w wojnach napastniczych... Obszary na wschodzie, które miano odstąpić Polsce, stały się były ziemiami pauskiemi w końcu 18 stulecia w wyniku największego bezprawia, popełnionego w przedtlerowskiej historii Europy, mianowicie w wyniku rozbiorów Polski” (str. 4-5). Również zwrot Francji Alzacji i Lotaryngii oraz Danii — Szlezewiku północnego był tylko naprawieniem wyrządzonych dawniej krzywd.

Niemcy nie wykonały innych postanowień traktatu. Nie dokonały rozbrojenia w wymaganym zakresie, spaciły tylko cząstkę reparacji, ponieważ rzekomo były niezdolne wywiązać się z tego obowiązku. Tymczasem Hitler w ciągu 10 lat wydał na zbrojenia dwa razy tyle, ile wynosiła ustalona kwota reparacji (132 miliardy marek złotych). Kolejne plany reparacyjne Dawesa i Younga zredukowały tę kwotę do 37 miliardów marek złotych. Ale i tej kwoty Niemcy nie zapłaciły. Natomiast Hitler w ciągu 4 lat wojny w krajach okupowanych (bez Rosji Sowieckiej) nałożył kontrybucje i w inny sposób

ściągnął w gotówce 80 miliardów marek. Tak to wygiada „krzywdą” niemiecka, zwłaszcza gdy się ją porówna z praktyką samych Niemców w tej dziedzinie.

Autor, który zdaje się jest zbliżony do kół socjalistycznych Niemiec, podkreśla jednak słabość rządów socjalistycznych i ich uległość wobec czynników wojskowych, kół przemysłu i wielkiego rolnictwa. Osobistości, które przeciwstawiały się reakcji niemieckiej, jak Erzberger lub Rathenau, były mordowane. Autor kreśli też interesujące sylwetki różnych dygnitarzy z epoki wejmarskiej, jak Hindenburga, Schachta, Stresemanna, Brüninga, Schleichera, v. Papena i in. Niektórzy z nich cieszyli się dobrą opinią za granicą jak np. Hindenburg czy Stresemann lub Schleicher. Lewy wykazuje na przykładach, jak nieuzasadniona była ta opinia.

Słowa prawdy, jakie pod adresem niemieckim wypowiada autor, zasługują na przytoczenie. Podkreśla on „wyłączną winę Niemiec za zniszczenia po owy światła”, ale również współwinę kierownictwa partii robotniczych (nie mówiąc już o partiach prawicy i środka). „Członków tych partii również nie można uwolnić od współodpowiedzialności wobec bezdusznego posuszeństwa, jakie wykazali, a które różniło się u SPD (socjalistów) tylko stopniem od posuszeństwa KPD (komunistów).”

Ta odpowiedzialność szerokich mas niemieckich za to, co się działo w czasie wojny podkreślana jest na tej samej str. 90 w silniejszych jeszcze słowach: „Od Bergen po Ateny musieli mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci chodzić w łachmanach i głodować, aby naród niemiecki, dobrze odżywiony i ubrany mógł uprowiać wojnę robunkową Hitlera. Ukrad ioni majątek winien być zwrócony przez tych, którzy z niego korzystali — tj. przez cały nód niemiecki”.

Przypomina też, że ruch oporu w Niemczech był słabutki: „Podczas, gdy norwescy quisingowie stanowili tylko 1% ludności, niemieccy działacze podziemni musieli walczyć jako grupka będąca w tak bezradniejszej mniejszości, iż niepowodzenie swoje mogli uzasadnić brakiem poparcia niemieckich mas ludowych” (str. 91).

Dzisiaj znowu, jak po wojnie 1914-18 w Niemczech szermuje się pojęciami rzekomej krzywdy, rzuca się hasło „Volk ohne Raum” itd., podkreśla się niemożliwość wyżywienia ludności wobec odebrania ziem wschodnich. Co do tego ostatniego punktu Lewy stwierdza, że „udział niemieckich prowincji wschodnich administrowanych przez Polskę (sic) w wyżywieniu Niemiec środkowych i zachodnich był minimalny. W dobrym pod względem zbiorów roku 1927-28 wynosił ten udział w zakresie zbóż chlebowych 3,2, ziemniaków 2,5, őrwi 4,5, a była 1,5%” (str. 95).

Dobrze byłoby, gdyby książka dostała się do wieu rąk niemieckich, a e również amerykańskich i angielskich. Zbyt pośpieszne wzmocnienie Niemiec, zanim proces oczyszczenia się wewnętrznego przez poniesienie konsekwencji własnych win nie doprowadzi do odrodzenia się moralnego Niemców, kryje bowiem w sobie poważne niebezpieczeństwa.

(m. ost.)

Wszędzie do nabycia książka
dra STANISŁAWA SKRZYPKA
pt.

„UKRAIŃSKI PROGRAM PAŃSTWOWY
W ŚWIETLE RZECZYWISTOŚCI”

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

„SPOJRZENIE NA POEZJĘ”

Dnia 25 kwietnia br. w „Ognisku Polskim” odbył się pierwszy wieczór zorganizowany przez redakcję „Myśli Polskiej” pt. „Spojrzenie na literaturę”.

Wieczór otworzył przewodniczący prof. Żółtowski. Następnie prof. Folkierski dał wzięty wykład wpływu ruchu ideowego narodowego na rozwój literatury polskiej, wykazując na przykładach Kasprowi, Reymonta, Rostworowskiego, Wyspiańskiego jak konkretnie idea działała na twórczość tych autorów. Następnie dr Kielanowski recytował utwory Kasprowicza.

Z kolei dr Wasiutyński dał obraz okresu wchodzenia do literatury nowego pokolenia w latach przed drugą wojną światową. Poezję Baka recytował p. Mirzwiński, a wiersze własne dr Pietrkiewicz. Obraz działalności literackiej w Polsce podziemnej dał red. Trościński, recytując na zakończenie poezje Hollendra, z „Wiernych płomieni” i własne. Ostatnim mówcą był red. Rojek, który mówił o twórczości literackiej w okresie wojny na emigracji w Anglii, zamykając charakterystyką postawy pisarza. Na zakończenie recytowali wiersze własne pp. Mirzwiński i Pietrkiewicz.

ZBIÓRKA 3 MAJA

Zbiórka 3 Maja na Fundusz Oświaty Polskiej Zagranicą trwać będzie w tym roku w okresie od 1 do 31 maja.

Pamiętajmy, że poza granicami kraju znajduje się blisko 250 tys. dzieci polskich, nie uwzględniając dzieci Polonii amerykańskiej. Z kwot, uzyskanych w zbiórce zeszłorocznej, Fundusz umożliwi naukę języka polskiego i wiedzy o Polsce 15 tys. dzieci. Cała reszta dzieci zmuszona jest uczyć się w szkołach obcych, względnie — np. we Francji, W. Brytanii itd. — w szkołach warszawskich. Tym dzieciom grozi wyarodowienie, albo zarażenie wpływami komunistycznymi.

Walka idzie więc o dusze i polskość tych młodych pokoleń, które są już lub wchodzą obecnie w wiek szkolny.

ŚLUBOWANIE AKADEMICKIE
W JEROZOLIMIE

W związku z trzynastą rocznicą Ślubowania Akademickiego na Jasnej Górze, otrzymaliśmy od jednego z naszych czytelników wspomnienia odnoszące się do odnowienia tego aktu w Jerozolimie.

W roku 1946, jako w dziesiątą rocznicę Ślubowania Akademickiego na Jasnej Górze, Katolickie Duszpasterstwo Polskie na Ziemi Świętej postanowiło odnowić ten akt w Jerozolimie, gdzie znalazła się wśród tysięcy Polaków gromadka uczestników ślubowania w Częstochowie w maju w roku 1936. Nikomu przez myśl nie przeszło, by sprawa tak prosta i oczywista miała napotkać na jakiegokolwiek trudności. W miejscowym dzienniku „Gazeta Polska” zamieszczono krótki komunikat Duszpasterstwa wzywający uczestników Ślubowania w Częstochowie do zgłaszania się w kancelarii Duszpasterstwa. I tu rozpoczęły się rzeczy, o których polskie

społeczeństwo katolickie nie powinno zapomnieć.

Komunikat wywołał ataki prasy hebrajskiej skierowane zarówno przeciw „Gazecie Polskiej” jak przeciw Duszpasterstwu. Z chwilą jednak, gdy Duszpasterstwo opublikowało urzędowe oświadczenie o religijnym charakterze aktu ślubowania oraz przekazało Agencji Żydowskiej autoryzowany tekst rotury ślubowania z opisem charakteru uroczystości, sprawa, jeśli chodzi o stronę żydowską została formalnie zakończona oświadczeniem żydowskiej Vaad Leumi (Rady Narodowej) przez jej przewodniczącą Ben Zwi oraz kierownika działu polskiego dr Hartgla. Oświadczyli oni, iż ponieważ jest to uroczystość ściśle religijna Agencja Żydowska nie będzie się więcej tą sprawą zajmować. Prasa hebrajska nadal wprawdzie kontynuowała ataki antypolskie z tej okazji, nadal też wywierano presję na drukarnię „Gazety Polskiej” o zaprzestanie druku pisma, ukazał się też paszkwil antypolski niejakiego Hauptmanna pt. „Suby częstochowskie czyli śmierć Żydom”, — wszystko to jednak odbywało się poza oficjalnymi czynnikami żydowskimi.

Znalazły się natomiast niestety w Jerozolimie czynniki polskie, które przy tej okazji chciały upiec własną pieczę polityczną. Tego samego dnia, kiedy sprawa została wyjaśniona pomiędzy Duszpasterstwem i Agencją Żydowską, pojawiła się u ówczesnego dowódcy Jednostek Wojska na Śroakowym Wschodzie gen. Wiatra przebywającego w przejeździe w Jerozolimie trzyosobowa delegacja, która, fałszywie przedstawiając stan rzeczy, uzyskała od niego rozkaz zabraniający wojskowym w Palestynie uczestniczenia w mających się odbyć uroczystościach. Gdy w tym samym czasie szef Duszpasterstwa chciał się spotkać z gen. Wiatrem, nie został do niego dopuszczony, nazajutrz zaś gen. Wiatr wyjechał do Libanu. Nie uzyskawszy mimo licznych starań cofnięcia rozkazu szef Duszpasterstwa złożył na znak protestu swój mandat w „Radzie Naczelnej”, której prezydium solidaryzowało się z owym rozkazem. Brak taktu w obrębie owego prezydium „Rady Naczelnej” znalazł m. in. wyraz w tym, iż na posiedzeniu w przeddzień Ślubowania przemawiał przeciw uroczystości sekretarz „Rady” niejaki p. Berger, nie będący chrześcijaninem.

Kierownik Sekcji Wydawniczej JWSW, kpt. Romanow wydał do swoich podwładnych pismo okólne, w którym zakaz uczestniczenia w ślubowaniu uzasadniał „niedemokratycznym” charakterem tego aktu i pod tym względem zszedł się w swej argumentacji z wystąpieniami prasy warszawskiej, która — rzecz oczywista — również przeciwdziałała aktowi z wszystkich sił.

Tak tedy po raz pierwszy zapewne w dziejach Wojska Polskiego i to akurat na Ziemi Świętej w Jerozolimie pojawił się rozkaz, zabraniający żołnierzom polskim pójścia na mszę św. oraz udziału w komunii św. i ślubowaniu religijnym.

Patriarcha Jerozolimski oraz władze brytyjskie w Palestynie, które doskonale orientowały się w całej sprawie, radziły jednak mimo wszystko uroczystość doprowadzić do skutku, a nawet udzieliły ochrony wojskowej uczestni-

kom uroczystości. W sąsiedztwie kościoła oo. assumptionistów zgrupowano oddziały wojskowe na wypadek ewentualnych napaści na Polaków. Były to oczywiście oddziały brytyjskie. Oprócz Polaków w uroczystości wzięły udział liczne delegacje obce: katolickie szkoły francuskie i arabskie, przedstawiciele patriarchów łacińskiego, syryjskiego i ormiańskiego, harcerstwo arabskie z pocztami szandarowymi. Było rzeczą niezmiernie przykrą, że w tym tłumie wiernych nie było polskich szkół i przedstawicieli cywilnych władz polskich, najgorsze zaś wrażenie, zwłaszcza na cudzoziemcach, zrobił brak polskich mundurów, tak często widywanych dotąd wszędzie na miejscach świętych w Palestynie.

W organizacji i przygotowaniu uroczystości dużą rolę odegrał Instytut Najsw. Marii Panny Zwycięskiej w Jerozolimie „Marianum”. Ślubowanie odnowiło tylko 4 uczestników ślubowania jasnogórskiego. Uczestników tych było więcej, ale niestety ta reszta była w mundurach...

Na poranku mariańskim po nabożeństwie i ślubowaniu występowali chór polski, arabski oraz soliści. W imieniu katolików brytyjskich przemawiał D. C. Thompson, sekretarz rządu palestyńskiego, składając życzenia od szefa departamentu sprawiedliwości i oświaty. Wysłało depeşe do Ojca św. Patriarchy Jerozolimskiego i kard. Hlonda.

MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO

W twórczości Mariana Bohusza-Szyszki, jednego z najwybitniejszych naszych malarzy współczesnych, występują dwa podstawowe kierunki: wcześniejszy, przedstawieniowy, i późniejszy — abstrakcyjny. Nie chcę, by określenia te brane były zbyt dosłownie. Dla właściwego ich zrozumienia najlepiej zapoznać się bezpośrednio z dziełami artysty, żadne bowiem słowa nie mogą oddać ściśle tego, co artysta wypowiedział za pomocą środków malarskich. Przedstawieniowość Bohusza-Szyszki nie posiada charakteru naturalistycznego, a abstrakcjonizm jego daleki jest od tego rodzaju konstrukcji malarskich, jakie znane są szeroko z twórczości Picassa, lub jego naśladowców.

Do najdawniejszych prac artysty z okresu powojennego należy portret muzyka Swolnkienia, utrzymany w tradycji dywizjonizmu. Jest to kompozycja o barwach niezwykle nasyconych, sprawiająca niemal wrażenie mozaiki. Już ten obraz wskazuje nam, że artysta należy do kierunku uważającego element barwy za główny środek wypowiedzi malarskiej. Warto porównać portret Swolnkienia z aut-portretem, późniejszego pochodzenia. W tym ostatnim artysta zerwał już z dywizjonizmem; obraz zdaje się być malowany na porcelanie, światło niemal go przenika. Zestawienie tych dwu kompozycji pozwala nam zorientować się, jakie możliwości posiada artysta, który w tak krótkim odstępie czasu potrafił stworzyć dwa dzieła o podobnym temacie a tak odmiennej treści malarskiej.

Ciekawe również jest zestawienie czterech kompozycji pod tytułem „Kwiaty”. I tu znów ten sam temat podany jest za każdym razem w inny sposób.

Może najbardziej uderzający kontrast da się zauważyć między „Kwiatami I” i „IV”. Ta ostatnia kompozycja zbudowana jest, podobnie jak portret Swolkenia, z drobnych plam barwnych, podczas, gdy „Kwiaty I” malowane są szerokimi, pełnymi rozmachem pociągnięciami zmierzającymi do podania treści w jak najbardziej syntetycznym skrócie.

„Konie o zachodzie” zasługują na uwagę między innymi ze względu na historię swego powstania. Jest to wizja, która zrodziła się przed wielu laty, a którą artysta dopiero teraz zrealizował. Już sama ta okoliczność wskazuje jak wielką odległość dzieli malarsko współczesne od impresjonizmu; zdaje się, że w epoce Moneta i innych łowców „na gorąco” światła i powietrza tego rodzaju proces powstania obrazu byłby nie do pomyślenia. „Konie o zachodzie” to wspaniała, spokojna gra zieleni, złota i purpury, którą można zestawiać z „Kogutem”, żywiolową, przebogata orgią barw i kontrastów.

W twórczości Bohusza-Szyszki dużą rolę odgrywają dzieła o tematyce religijnej. Ciekawe to zjawisko w czasach obecnych, gdy temat religijny jest na ogół rzadkością. Spośród bardziej znanych malarzy współczesnych uprawia go jedynie bodaj Rouault. Szył Bohusza-Szyszki nie ma z nim zresztą nic wspólnego.

Tendencja do abstrahowania znalazła u artysty najsilniejszy wyraz właśnie w obrazach treści religijnej, na pierwsze miejsce wśród których wysuwa się go-

sne już „Ukrzyżowanie”. W tej niezwykle oryginalnej kompozycji malarz dąży z powodzeniem do zerwania z wszelką tradycją w ujęciu zarówno tematu jak treści artystycznej. Na krzyżu widzianym jakoby w skrócie perspektywicznym postać Zbawiciela jest jedynie lekko zaznaczona jasnymi, jakby fosforyzującymi plamami. W tle nie widzimy chmur i błyskawic, lecz tylko barwy tak zestawione, że uzyskany jest niezwykle dramatyczny efekt światłocieniowy. Pod krzyżem nie ma żadnych postaci i jedynie purpurowe plamy znaczą obecność dziwnych, nieznanymi kwiatów — wyruszeń z krwi Zbawiciela „mistycznych kwiatów miłości”. Cały obraz nie ma właściwie nic wspólnego z przedstawieniem samego historycznego faktu Ukrzyżowania, lecz jest jedynie wypowiedzią artysty o dziele O. kupienia, wyrażoną za pomocą symboli malarskich. Mowa to niezrozumiała dla wielu, jak każda rzecz naprawdę nowa.

W obrazach Bohusza-Szyszki nie mogą dopatrzeć się wpływów żadnego określonego artysty. Jest on twórcą na wskrś współczesnym, ale niesposób byłoby zaliczyć go do idących w ślady takiego czy innego spośród najbardziej znanych malarzy doby obecnej. To samo dałoby się powiedzieć o stosunku artysty do dawnych mistrzów, których jest on goącym wielbicielem. Jest on ich naśladowcą w jednej rzeczy na pewno: w dążeniu do zdobycia własnego wyrazu.

F. STRZAŁKO

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

CELE KLUBU CONRADA

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. F. Skibińskiego w marcowym numerze „Myśli Polskiej” zobowiązuje mnie do odpowiedzi nie tylko ostatego, że zostałem w nim wymieniony imiennie, ale że szkoda mi dobrych intencji autora, wypaczonych wielkim nieporozumieniem. Pan Skibiński chciałby widzieć kluby miłośników Mickiewicza, Słowackiego, Norwida — natomiast dziwi go istnienie polskiego Klubu Miłośników Conrada. Solidaryzuję się w pełni z wołaniem autora listu o potrzebie kultu naszych wielkich pisarzy, o uczczenie ich rocznic. Ale dlaczego w zapale dla dobrej sprawy zwalczając inną dobrą sprawę — tak jak gdyby obie nie mogły istnieć obok siebie?

Redakcja „Myśli Polskiej” obroniła już Klub Miłośników Conrada w uwagach towarzyszących listowi. Sądzę, że nieporozumienie rozwieje się do reszty, jeśli wymienię cele, jakie Klub Conrada sobie postawił.

Oto one:

a) Zbieranie wszelkich materiałów dotyczących Conrada-Korzeniowskiego i jego twórczości: listów, rękopisów, świadectw ludzi, którzy go znali. Dziś, gdy dzieli nas dopiero 25 lat od jego zgonu,

można bardzo dużo cennych materiałów odnaleźć jeszcze na terenie Anglii i uchować; wydaje mi się to obowiązkiem Polaków przebywających tutaj, zwłaszcza jeśli idzie o materiały związane z polskością pisarza.

b) Badanie zagadnień związanych z Conradem. Klub przygotowuje dzieło o pierwiastkach polskich w utworach Conrada.

c) Nawiązywanie kontaktów z pokrewnymi organizacjami, celem wymiany materiałów i opinii o Conradzie. Kontakty takie zostały już na tym terenie nawiązane.

d) Podejmowanie inicjatyw dla uczczenia imienia Conrada, w szczególności w roku bieżącym, wobec przypadającej 25. rocznicy jego zgonu.

Celowość istnienia polskiego klubu conradowskiego, właśnie na tutejszym terenie, gdzie wielki pisarz żył i tworzył, wydaje się chyba oczywista. Co więcej, osoba Conrada jest naturalnym łącznikiem między społeczeństwami polskim i brytyjskim, a jego kult staje się idealną bazą propagandy polskich spraw, propagandy sięgającej daleko poza samą osobę pisarza. Byłoby naprawdę karygodnym zaniedbaniem nie skorzystać z takiej sposobności, która się sama nasuwa.

Tyle o klubie. Pozostaje jeszcze stwierdzenie p. Skibińskiego, że „Conrad jest pisarzem angielskim a nie polskim”. Angielskim z języka — tak; ale że polskim z ducha, to pewne. Trwa u nas dziwny upór wyrzekania się jednego z największych synów Polski, który garnął się do Niej we wszystkich swych osobistych wyznaniach, którego dzisiaj przyznają nam sami Anglicy. Jakże oamienni jesteśmy pod tym względem od Niemców, co chcieliby sobie przywłaszczyć nawet Kopernika i Wita Stwosza — rzecz oczywiście nie chwalebna. Ale czyż trzeba nam iść aż tak daleko w narodowej powściągliwości i dumie, by odrzekać się pisarza, który w swoim „Księciu Romanie” umieścił te wspaniałe słowa o Polsce, będące niewątpliwie wyrazem jego własnych uczuć:

„Kraj, co żąda, aby kochano go więcej niż jakikolwiek kraj był kiedykolwiek kochany, aby kochano go smutną miłością dla zmarłych a niezapomnianych — niegasnącym płomieniem wielkiej namiętności, jaką tylko żywy ideał może zapalić w piersiach naszych — na dumę naszą, na umęczenie, na triumf nasz i upadek”.

WIT TARNAWSKI

Londyn, 10 kwietnia 1949 r.

TREŚĆ NR 134 (Rok IX, NR 5) „MYŚLI POLSKIEJ”

ZAMIAST JEDNOŚCI — GROTESKA—Diariusz przesilenia — Tekst oświadczenia Stronictwa Narodowego—Walka ze stronictwami — Prezes Bielecki w Chicago — U.G. — A ci swoje—Curiosum—Pierwszeństwo Europy — Sowiecka próba pokojowa — Wyjaśnienie; Z AMERYKAŃSKIEJ PERSPEKTYWY — Adam Niebieszczański; ZGUBNE DZIEDZICTWO SANACJI — M.E. Rojek; DUCHOWY PODBÓJ CHIN — Z. Abdank; SPOTKANIE ZE STANISŁAWEM WYRZYKOWSKIM — Władysław Folkierski; DUSZA — Stanisław Wyrzykowski; SWIEŻY POWIEW — W. Trościanko; NOWA PRACA KUCHARZEWSKIEGO — J. Pi.; GDYBY NAPISAŁ JĄ NIE-MIEC... (m. ost.); „SPOJRZENIE NA POEZJĘ”; ZBIÓRKA 3 MAJA; SLUBOWANIE AKADEMICKIE W JEROZOLIMIE; M. BOHUSZ-SZYSZKO — F. Strzałko; CELE KLUBU CONRADA.

„MYŚL POLSKA”

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street,
London, W.8. Tel. WESTERN 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów)
12s lub 4 dol.
Prenumerata roczna (12 numerów)
f.1 4s Od lub 8 dol.